



T R Y P T Y K E U R O P E J S K I

Franciszek Ziejka

MÓJ PARYŻ



Universitas

MÓJ PARYŻ

TRYPTYK EUROPEJSKI



MOJA PORTUGALIA



MÓJ PARYŻ

MOJA PROWANSJA

Franciszek Ziejka

MÓJ PARYŻ

Kraków

© Copyright by Franciszek Ziejka and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2008

ISBN 97883-242-1002-2

TAiWPN UNIVERSITAS

Redakcja
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

www.universitas.com.pl

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	7
-----------------	---

Część I

DZIENNIK PARYSKI (12 listopada 1984–9 listopada 1985)	13
--	----

Część II

PARYŻ MŁODOPOLSKI

STOLICA ŚWIATA	97
POLSKA W PARYŻU	111
LUDZIE POGRANICZA	139
PRZYJACIELE FRANCUZI	154
OGNISKA POLSKICH ARTYSTÓW I PISARZY	182
Towarzystwo Filharmoniczne Polskie	189
Koło Polskie Artystyczno-Literackie	191
Towarzystwo Polskie Artystyczno-Literackie	197
Towarzystwo Artystów Polskich	202
O MIEJSCE DLA POLSKI	208
Agence Polonaise de Presse	208
Akcja Sienkiewicza	219
Komitet Francusko-Polski	232
Batalia o Paska i polską literaturę	244
PATRONAT WIESZCZÓW	264
Droga Adama na plac d'Alma	265
Przy grobie Juliusza	282

BESTSELLER I JEGO POKŁOSIE	295
MŁODA POLSKA U BRAM EUROPY	308
Paryskie sukcesy i porażki Stanisława Wyspiańskiego	318
Jana Augusta Kisielewskiego nieudana wyprawa po złote runo ..	330
Podbój Paryża przez Józefa Weysenhoffa i jego „Podfilipskiego”	343
Paryskie nadzieje i rozczarowania Stefana Żeromskiego	349
Władysława S. Reymonta droga na paryski parnas	374
BIBLIOGRAFIA	407

Część III

NIE TYLKO O PARYŻU

Nowożytny Babilon. Obraz Paryża w literaturze polskiej lat 1890–1930	413
Kolonja paryska polskich malarzy	431
Stanisław Przybyszewski i Francuzi	451
Bizancjum modernistów. „W mrokach Złotego Pałacu czyli Bazylissa Teofanu” Tadeusza Micińskiego w kontekście literatury europejskiej o tematyce bizantyjskiej	470
Francja i Rosja. Karta z dziejów stosunków literackich w Europie na przełomie XIX–XX wieku	494
Nieznani, zapomniani... O dawnych tłumaczach literatury polskiej we Francji	509
Krótka opowieść o emigracyjnym skarbie i niektórych jego strażnikach	534
Paryska przygoda „Halki”	549
Tadeusza Boya-Żeleńskiego kłopoty paryskie	557
Głos wolny, wolność ubezpieczający... Nadsekwańskie echa Wielkiego Strajku Chłopskiego z 1937 roku	562
SPIS ILUSTRACJI	583
NOTA EDYTORSKA	585
INDEKS NAZWISK	587

Przedmowa

Od najdawniejszych czasów Paryż podbijał serca Polaków. Rzesze naszych rodaków wędrowały w czasach narodowej niewoli do Paryża w poszukiwaniu schronienia i szansy swobodnego działania na rzecz zniewolonej Ojczyzny. Od wieków podążali i nadal podążają do Paryża poeci i pisarze, a także artyści. W dwudziestoleciu międzywojennym pojawiła się w tym mieście wielotysięczna gromada naszych rodaków szukających pracy i zarobku. Klęska wrześniowa w 1939 roku sprawiła, że w murach stolicy Francji znaleźli schronienie niedawni żołnierze ponownie wymazanej z mapy Europy naszej Ojczyzny. Niemala gromada Polaków osiedliła się w Paryżu po II wojnie światowej. Byli to nie tylko żołnierze, ale także politycy, którzy odmówili powrotu do kraju, w którym zainstalowany został przez Sowieców reżim komunistyczny. W ciągu ostatnich blisko dwudziestu lat, po odzyskaniu przez Polskę wolności, zjawiała się w Paryżu kolejna fala Polaków. Przyjeżdżają tu w poszukiwaniu pracy „bracia” słynnego w całej Francji „polskiego hydraulika”, ale także inżynierowie, architekci, lekarze.

Bez względu na okoliczności, do Paryża zawsze podążali studenci i profesorowie. Drogę przecierali im tacy ludzie, jak Mistrz Wincenty zw. Kadłubkiem, który na paryskiej Sorbonie zdobywał wiedzę, aby po latach móc się nią pochwalić na kartach swojej *Kroniki*, czy bracia Jan i Marek Sobiescy, którzy właśnie w stolicy Francji przygotowywali się do podjęcia ważnych obowiązków w Ojczyźnie. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku także i ja dotarłem do Paryża. Po raz pierwszy zobaczyłem to miasto w lutym 1970 roku. Zatrzymałem się

w nim trzy dni, w drodze do Aix-en-Provence, dokąd zostałem wysłany przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Nauki w celu objęcia posady lektora języka i kultury polskiej na tamtejszym uniwersytecie. W czasie siedmiu semestrów, które spędziłem w Aix-en-Provence, niejeden raz byłem w Paryżu. Korzystałem z każdej nieledwie okazji, aby – gdy tylko pojawiła się sprzyjająca okoliczność (np. wywołana kolejną falą strajków studenckich przerwa w zajęciach dydaktycznych czy okres świąteczny) – pojechać do stolicy Francji (kiedyś obliczyłem, że było takich wypraw trzysta!). Moje pobyty w Paryżu trwały wówczas zazwyczaj kilka dni. Zanurzałem się w tym czasie w jego niezwyklej atmosferze, odwiedzałem muzea, a nade wszystko dwie biblioteki: Bibliotekę Polską przy quai d'Orléans oraz Bibliothèque Nationale. Miałem wówczas w Paryżu nawet „swój” hotelik, w którym z zasady się zatrzymywałem (na Wyspie św. Ludwika, przy ul. Św. Ludwika pod numerem 45, w hotelu noszącym imię tego świętego króla Francji).

Z chwilą gdy latem 1973 roku powróciłem do kraju, urwały się także i moje wyprawy do stolicy Francji. Ale los uśmiechnął się do mnie po raz drugi: wczesną wiosną 1984 roku! Przypadkowe spotkanie w Krakowie z prof. Marią Delaperrière, moją niegdysiejszą koleżanką ze studiów na UJ, która właśnie objęła obowiązki kierownika katedry polonistyki w Narodowym Instytucie Języków i Cywilizacji Wschodnich w Paryżu (Institut National des Langues et Civilisations Orientales) sprawiło, że jesienią tego roku stawilem się w stolicy Francji do pracy w INALCO. Objąłem w Instytucie etat lektora, choć z góry wiedziałem, że będę prowadził, oprócz lektoratu, także wykłady z literatury i kultury polskiej. Uznałem jednak, że skoro dla króla Henryka IV Paryż „wart był mszy”, to i ja otrzymywałem od Opatrzności niezwykle, a na owe czasy właściwie niepowtarzalną szansę spędzenia kilku lat w tym czarodziejskim mieście.

Mój pobyt w Paryżu trwał osiem semestrów akademickich (od jesieni 1984 do lata 1988). Ponieważ wyjechałem do Paryża sam, bez rodziny (żona z dziećmi raz w roku przyjeżdżała do mnie na okres dwóch – trzech tygodni), mogłem bez większego trudu zanurzyć się w życie tego miasta. Oczywiście, bardzo wiele czasu zajmowało mi przygotowywanie się do zajęć (szczególnie do trzech różnych wykładów, w tym dwóch – prowadzonych w języku francuskim). Ale, przyzwyczajony do dobrego gospodarowania czasem, nie omieszkałem korzystać z jakże bogatej oferty kulturalnej nadsekwańskiej metropolii (wystawy, teatry,

kina). Nade wszystko jednak z podjęcia pracy w miejscowych bibliotekach i archiwach. Moją aktywność z pierwszego okresu pobytu w stolicy Francji dobrze dokumentuje drukowany tu jako część pierwsza książki *Dziennik paryski*.

Wiosną 1985 roku w czasie pracy w Bibliotece Polskiej natknąłem się na nikomu nieznanie i nieopracowane bogate archiwum Józefa Gałęzowskiego, wieloletniego dyrektora Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu. Za zgodą pracowników Biblioteki zająłem się porządkowaniem bardzo bogatej korespondencji Gałęzowskiego. W czasie tej pracy pojawił się pomysł przygotowania w oparciu o odnalezione materiały pracy, którą roboczo zatytułowałem *Ludzie Rapperswilu*, a która mogłaby stać się ważnym przyczynkiem do dziejów tej jakże zasłużonej instytucji polskiej na Wychodźstwie, której zbiory, przewiezione do kraju na mocy decyzji Sejmu RP, spalili w 1944 roku Niemcy po stłumieniu powstania warszawskiego. Pracowałem nad archiwum Gałęzowskiego blisko rok, zebrałem też rzeczywiście bogate materiały. Książki jednak do dzisiaj nie napisałem, choć wciąż żywię nadzieję, że nadejdzie pora na skorzystanie z poczynionych w Paryżu wypisów z korespondencji tej miary ludzi, co Władysław Plater – założyciel Muzeum, Henryk Bukowski, Teodor Tomasz Jeż, Agaton Giller, Karol Lewakowski, Stefan Żeromski czy Zygmunt Wasilewski. Książki o „ludziach Rapperswilu” nie napisałem, wciągnęło mnie bowiem bez reszty nowe biblioteczne „odkrycie”: niezwykle bogate archiwum Kazimierza Woźnickiego, człowieka, który na przełomie XIX–XX wieku był niewątpliwie najważniejszym organizatorem życia kulturalnego i artystycznego polskich pisarzy, poetów czy malarzy, którzy na dłużej czy krócej osiedlili się w stolicy Francji. Wkrótce dotarłem do archiwów innych „paryskich” Polaków, co w konsekwencji pozwoliło mi przygotować monografię pt. *Paryż młodopolski*, wydaną w 1993 roku, a tutaj przedrukowywaną jako część druga niniejszej książki.

Na tym jednak nie poprzestałem. Prowadzone w bibliotekach paryskich poszukiwania pozwoliły mi zebrać materiały, które wykorzystałem już po powrocie do kraju do napisania drukowanych tu w części trzeciej książki dziesięciu rozpraw i szkiców. Nie wszystkie ściśle dotyczą spraw związanych z Paryżem, do wszystkich jednak zebrałem materiały w czasie pobytu w stolicy Francji.

Jak widać, także i ten tom „tryptyku europejskiego” jest swoistym moim pamiętnikiem z czterech lat spędzonych w stolicy Francji. Pa-

miętnik to nietypowy, złożony bowiem z różnorodnej materii. Daje on jednak wyobrażenie o moich zatrudnieniach naukowych w czasie pobytu w Paryżu. Mam też nadzieję, że jego lektura przyniesie czytelnikom nieco radości, że dowiedzą się o sprawach szerzej nieznanych, które potwierdzają siłę związków kulturalnych i literackich polsko-francuskich. Tego im i sobie w każdym razie życzę.

Kraków, 13 kwietnia 2008

Część pierwsza

Dziennik paryski

(12 listopada 1984–9 listopada 1985)

12 listopada 1984

Pełen niepokoju, ale i nadziei, ląduję na lotnisku Orly-Sud. Pierwsze wrażenie onieśmiela. Przed kilkunastu laty lądowałem na Le Bourget. Było to lotnisko bardziej swojskie, trochę prowincjonalne. Tu, na Orly, z każdego kąta przemawia do przybysza rozmach, nowoczesność, potęga. Już tutaj podróżny zdaje się tracić resztki swojej osobowości – którą tak wysoko cenił jeszcze przed chwilą, w powietrzu. Staje się ziarenkiem piasku w przesypującej się maszynie czasu. Obsługa pasażerów odbywa się taśmowo, szybko, sprawnie. Po odbiór bagaży trzeba przejść kilkaset metrów. Nikt ich oczywiście nie sprawdza, nikogo nie obchodzą...

Ale Paryż to miasto niespodzianek. Oto, zaledwie odetchnąłem jego powietrzem – jeszcze tutaj świeżym, bo to wszak około 40 km od centrum miasta – a już spotykam przyjaciółkę mojej rodziny od lat kilkunastu. To Cilick, czyli pani Cécile Santamaria, która w ostatniej chwili (na kilka godzin przed moim przyjazdem), odebrawszy wiadomość o moim przyjeździe, stawiała się na powitanie. Radość obopólna. Upłynęło ponad 12 lat od naszego ostatniego spotkania, a wydaje się, że było to zaledwie wczoraj, może – przedwczoraj. Dzięki pomocy Cilick (to jej pseudonim literacki, który wszedł jednak w użycie także w środowisku domowym i znajomych) szybko docieram do Paryża. W stacji PAN-u, przy ulicy Lamandé, zarezerwowałem sobie pokój. Mam więc gdzie się zatrzymać! Ale nie tylko to. Oto w bramie wejściowej do tak bliskiego sercu setek polskich uczonych, stypendystów, profesorów budynku przy Lamandé spotykam przyjaciela z dawnych lat, prof. Tadeusza Bujnickiego. Od miesiąca mieszka tutaj, jako stypendysta francuskiego MSZ-etu. Przyjaciel wita mnie po polsku – sercem i... butelką Côte-du-Rhône! Czyż może być cieplejsze przyjęcie? Nic zatem dziwnego, że gdy około północy zasypiam na trochę twardym łóżku, błogosławię Los za opiekę.

13 listopada 1984

To dzień mojej „instalacji” na Uniwersytecie. Z dalekiego Chartres przyjeżdża moja nowa szefowa z Institut National des Langues et Civilisations Orientales, prof. Maria Delaperrière. O dziesiątej stajemy u bram Cité Universitaire. Początki są dobre. Okazuje się, że prośba szefowej została uwzględniona i otrzymuję przydział do pokoju 325 w Collège Néerlandais. Pokój zwyczajny, z umywalką. Łazienka wspólna na piętrze. Jest za to *Regulamin*, w którym wypisano, ilu to rzeczy zabrania się lokatorowi (prania, gotowania, używania dodatkowego oświetlenia...). Na szczęście podobno regulaminy wymyślono po to, by istniały, nie zaś po to, by ich przestrzegano! Mam zatem miejsce w akademiku!

Drugi próg do przeskoczenia jest o wiele trudniejszy: to „instalacja” na uczelni. Panie z administracji są wprawdzie bardzo miłe, ale żądają wypełnienia kilkunastu dokumentów, przedstawienia kilku innych... Na szczęście i ta barykada zostaje zdobyta. Przy okazji poznaję miejsce pracy: pałac przy rue de Lille 2. Budynek „sympatyczny”, choć niewiele wydaje się mieć wspólnego z nowoczesnością. Salki wykładowe rozrzucone są po okolicznych budynkach (na szczęście niezbyt daleko). W Institut National des Langues et Civilisations Orientales (INALCO) naukę pobiera wcale spora grupa młodzieży, naucza się tu bowiem grubo ponad 80 języków. Nie widać jednak ruchu, życia uczelni. Zwraca uwagę kameralny, swojski nastrój. Taki nastrój panuje także w czasie mojej rozmowy z wiceprezydentem INALCO, prof. La-Bridle'em, odpowiedzialnym za sprawy słowiańskie. Przed rokiem był on gościem UJ, teraz ma okazję do rewanżu. Przynajmniej w słowach.

Załatwienie spraw administracyjnych zajmuje mi cały dzień. Ani się spostrzegłem, gdy nadszedł wczesny listopadowy wieczór. O przeprowadzce dziś nie ma co marzyć. Po prostu sił nie staję... Zmęczony przeżyciami dnia padam na łóżko w hotelu przy Lamandé. Nie mam czasu nawet na uporządkowanie myśli, zebranie pierwszych wrażeń. Jutro wszak na 8.30 muszę dotrzeć na uczelnię i podjąć zajęcia. Życie nie rozpieszcza, stawia ostre wymogi.

14 listopada 1984

Dziś inauguracja moich zajęć. Wszystko zaczyna się pod dobrym znakiem. Do kilkorga słuchaczy mówię o literaturze Polski najdawniej-

szych wieków. Mówię po francusku, z polskim językiem mają bowiem jeszcze spore kłopoty. Zainteresowanie spore. Może to dobry znak?

Na kolejnych zajęciach (mam ich w tym dniu 5 godzin) stawia się kilkanaście osób. Nawiązuję pierwsze znajomości. Studenci – jak za zwyczaj – o bardzo powikłanych biografiach. Tylko dwie osoby pochodzą z Polski (podobno w dawnej Sorbonie, czyli w dzisiejszym Paris IV, Polacy dominują). Reszta to Francuzi, ale są także słuchacze z Afryki, ze Stanów Zjednoczonych i inni.

Skład mojej grupy ćwiczeniowej w pewnym sensie odbija charakter dzisiejszego Paryża, miasta coraz mniej francuskiego, coraz bardziej kosmopolitycznego. Moje wspomnienia sprzed lat dwunastu – trzynastu zostają teraz wystawione na ciężką próbę. Miasto bowiem nie tylko zmieniło się zewnętrznie. Pojawiły się nowe dzielnice, nowe osiedla. Zmienił się nade wszystko jego charakter. Przynajmniej w niektórych dzielnicach. W okolicach Lamandé, placu Clichy, ale także w wielu innych dominują zdecydowanie Afrykanie i Arabowie. Na niektórych liniach metra to oni właśnie panują bez reszty. Biały paryżanin staje się tu rzadkością...

Ogromny napływ Afrykanów i Arabów z dawnych kolonii francuskich zmienia oblicze Paryża. Stolica Francji nabiera charakteru orientalnego, południowego. Czy proces ten zostanie zahamowany, o co wolać zaczynają coraz głośniej niektórzy politycy, należy wątpić. Życie ma swoje prawa. Imigracja z Afryki do Francji trwa. Paryż coraz bardziej staje się metropolią kolorowych. I nikt chyba nic na to nie poradzi.

15 listopada 1984

Dziś spędziłem pierwszą noc w Cité Universitaire. Wieczorem, przy znaczącej pomocy przyjaciela Tadeusza, przeprowadziłem się do „własnego” pokoju w Collège Néerlandais! Pokój duży, jasny. Ma jednak swoje niewygody. Przed wszystkim jest zimny! W nocy porządnie zmarzłem. Trzeba było wstawać, narzucać na łóżko kurtki i płaszcze, zimno bowiem dało się mi mocno we znaki. Niewesołe perspektywy...

W tej sytuacji rozgrzewa mnie tylko wiadomość z domu. Właśnie wczoraj wieczorem udało mi się dodzwonić do Krakowa. Co za radość usłyszeć głosy bliskich, powiedzieć im, że wszystko toczy się dobrze, że nie ma się o co niepokoić! To pozwala przetrwać nawet najgorsze.

W tym kontekście łatwiej mi przelknąć gorzką pigułkę, jaką zgotowano mi w czasie wizyty w ambasadzie.

Wybraliśmy się do ambasady z przyjacielem Tadeuszem. Zgodnie bowiem z instrukcją, jaką otrzymaliśmy przed wyjazdem, jest to nasz obowiązek. Przyjaciel miał jeszcze złudzenia, że porozmawiamy tam z kimś, że ktoś się zainteresuje naszym losem. Ja, pamiętając o swoich dawniejszych przygodach, byłem ostrożniejszy. I oczywiście miałem rację (choć doprawdy nie chciałbym mieć tej właśnie satysfakcji!). W ambasadzie „załatwiono” nas na stojąco – kazano wypełnić obszerne ankiety i możliwie szybko ruszyć w świat. Jedna jedyna panienka, która raczyła zjawić się w poczekalni, oświadczyła nam, że dziś wszyscy mają bardzo dużo zajęć, a ona szczególnie. Zrozumieliśmy w lot. Po kilku minutach byliśmy już na ulicy. Wolni, spokojni, ze świadomością spełnionego „obowiązku”. Tylko gdzieś tam głęboko raz po raz odzywała się niespokojna myśl – czy też i *oni* mają podobną świadomość. Czy świadomość taką posiada także ten jakże arogancki odzwierny, którego nie stać było nawet na zwykłe „dzień dobry”. Czy posiada ją także i owa panienka, i owi mityczni „panowie”, wszyscy tak bardzo zajęci!?

Na szczęście dzisiejszy dzień przynosi także i radośniejsze chwile. Przede wszystkim okazuje się, że mam prawo korzystać ze stołówki studenckiej w Cité Universitaire. Wprawdzie płacę pełną taryfę za obiad (17,70 franków), jest to przecież wieść bardzo pocieszająca. Skoro mam gdzie spać i co jeść, na bok muszą ustąpić wszelkie inne kłopoty.

16 listopada 1984

Dziś w programie oprócz wielu innych zajęć miałem dwie wizyty. Pierwsza na prefekturze policji. Trzeba wszak podjąć starania o kartę pobytu (*carte de séjour*). Niestety, wizyta zakończyła się niepowodzeniem. Tłum cudzoziemców, przede wszystkim studentów z Cité, szczerze wypełniał pomieszczenie. Godzinne oczekiwanie w kolejce przekonało mnie, że trzeba spróbować kiedy indziej, dużo wcześniej. Tym bardziej że czas biegnie, a w południe mam spotkanie z dyrektorem Instytutu Polskiego. Na szczęście przynajmniej ta wizyta przebiega pomyślnie. Pan Klimkiewicz sprawuje urzędową opiekę nad Polakami pracującymi w uczelniach francuskich w ramach umowy kulturalnej polsko-francuskiej. Orientuje się dość dobrze w sytuacji poszczegól-

nych ludzi, choć niektóre sprawy widzi w wyostrzonym świetle, zbyt jaskrawo. Cóż, ostatnie, wcale niełatwe lata kazały mu widocznie dmuchać na zimne...

Czy współpraca nasza się ułoży? Obaj mamy taką nadzieję. Życie odpowie samo. Zobaczymy. W każdym razie chęci nie brakuje. Tym bardziej że wszystko wskazuje na to, iż będę musiał szukać pomocy w bibliotece Instytutu. Zająć mam w uczelni sporo (14 godzin tygodniowo!), nieodzowna musi być więc pomoc bibliotekarska.

W czasie chwilowej zadumy stwierdzam, że właściwie od kilku dni żyję prawie wyłącznie w Paryżu podziemnym! Masa spraw, jakie muszę załatwić w coraz to innym miejscu miasta, sprawia, że bez przerwy jeżdżę metrem. Czuję się też tutaj zupełnie dobrze, swojsko. Bez pudła wybieram właściwy kierunek, zmieniam linie, wędruję podziemnymi korytarzami... Ani się spostrzegłem, że w ten sposób stałem się obywatelem miasta, które przed półtora wiekiem tak barwnie opisał był Wiktor Hugo.

Wędrówka paryskim metrem to prawdziwa przygoda. Właściwie każda linia ma swój własny charakter. Jedne przypominają jako żywo Paryż przedwojenny: jeżdżą po nich wysłużone stare zestawy – pociągi (po 5 wagonów w każdym zestawie, środkowy wagon kl. I). Inne – centralne – tchną nowoczesnością, elegancją. To już metro przyszłości (np. linia pospieszna RER). Odrębna sprawa to stacje. Jest ich chyba kilkadziesiąt. Każda z nich ma swój własny wystrój. Do jednych zawitała nowoczesność wraz z ruchomymi schodami, trasami szybkiego ruchu (np. Montparnasse-Bienvenue), w innych wciąż jeszcze stare windy wywożą pasażerów na powierzchnię ziemi. Wszystkie – zgodnie ze starym paryskim zwyczajem – przyjęły funkcję głównego centrum reklamowego. Na szczęście reklamy te są stosunkowo spokojne, nie atakują przechodnia. Zginęła dawna ich agresywność. Tak, jak wycofana została ze stacji metra rozpowszechniona niegdyś sprzedaż w automatach gumy do żucia. Dziś to już przeszłość. Kto był sprawcą tej odmiany, nie potrafię odpowiedzieć. Dość, że zginęła ta tradycja. Nie tylko ona.

17 listopada 1984

Spisywanie tego dziennika zaczyna stawać się interesującym przedsięwzięciem. Czy starczy mi sił i ochoty na zapełnianie tych stron,

na odnotowywanie tego, co jest tego godne? Przecież nie sposób opisać wszystkiego. Czy zapisywać tylko wrażenia o świecie? A może dać więcej miejsca zwierzeniom własnym? Pytania te mnożą się nie bez kozery. Wczoraj spędziłem kilka wieczornych godzin przy biurku. Przygotowując wykłady, wypadło mi sięgnąć do *Dziejów kultury polskiej* Aleksandra Brücknera. Do dzieła niezwykle, pełnego fajerwerków i niespodzianek, monumentalnego, a przy tym bardzo osobistego! Jakże daleko odbiega ono od obowiązującej dziś zasady tzw. obiektywizmu! Brückner wydaje sądy bez najmniejszych skrupułów. Jednych kreuje na bohaterów, innym odmawia prawa do pamięci. A wszystko to znajduje wsparcie w jego jakże znakomicie pojemnej pamięci! To umysł doprawdy na miarę renesansu!

Czytając *Dzieje kultury polskiej* nie sposób nie postawić pytania: co ważniejsze – człowiek czy świat, myśl czy czyn? Brücknera interesowali przede wszystkim ludzie. A mnie? Na razie pytanie to niech pozostanie bez odpowiedzi.

Dziś sobota. Na dworze leje, zimno, wieje wiatr. Nie chce się nawet wychylić nosa z domu. Od ranka siedzę przy biurku i pracuję. Po obiedzie nie sposób jednak wysiedzieć. Wraz z Tadeuszem ruszamy do serca Paryża, na Plac Zgody (Place de la Concorde). W listopadowym deszczu zlewają się kontury stojącej nieopodal wieży Eiffla. Nad placem zaś – niby okrzyk rozpaczony – wznosi się ku górze obelisk z Luksoru. Wyrwali go kiedyś przodkowie dzisiejszych mieszkańców Paryża z dalekiego Egiptu, przewieźli tutaj i postawili na znak swej potęgi. Dziś luksorski monument zdaje się głosić zmęczonemu bezustanną gonitwą światu jedną jedyną prawdę: o upływie czasu, o sile materii i nietrwałości pamięci człowieka. Przed dziesiątkami wieków, w starodawnym Egipcie, artyści mozolili się nad wykuciem w twardej kamieniu prawd o ich własnym świecie. Dziś pamięć o nich przepadła. Odeszły także w niepamięć prawdy, które zaklęli w tym kamieniu. Na Placu Zgody stoi dziś głuchy na świat, na jego bolesne wstrząsy i konwulsje, pomnik-wyzwanie, pomnik-przestroga. Czy go zauważają paryżanie? Może go widzą z okien swych wspaniałych samochodów. Ale nie potrafią już, niestety, czytać wyrytych na nim znaków. Niestety, nie wiedzą, dlaczego go odkuto w kamieniu...

Przyjechaliśmy na Plac Zgody przede wszystkim w nadziei odwiedzenia pałacu Jeu de Paume – wspaniałego muzeum impresjonistów. Przyjechaliśmy mimo najgorszej listopadowej pogody. Czy zostaniemy

nagrodzeni? Kłębiący się w wejściu do muzeum różnojęzyczny, przemoknięty tłum nie zachęca. Będzie tłok! Nie ma jednak wyboru. Degas, Renoir, Manet, Monet, Cézanne, Van Gogh... są tuż obok! Jakże im nie złożyć choćby krótkiej wizyty? Jakże im się nie pokłonić? Tak, pokłonić. Bo na zawarcie bliższej znajomości z tymi płótnami przyjdzie pewnie czas. Dziś, w tym tłumie, przy boku przyjaciela nie ma możliwości zaznajomienia się z nimi. Do muzeów najlepiej chodzić samotnie w czasie, gdy inni zajęci są swoimi sprawami... Cóż więc da mi dzisiejsza wizyta? Dużo i mało. Daje przede wszystkim możliwość ogarnięcia ogromu dorobku impresjonistów. To bogactwo, od którego dostaje się zawrotu głowy. Jakże dziwny, inny świat wydał tych artystów! Jakże inni byli oni sami! Każdy z nich był osobowością, każdy szukał swojej własnej drogi. A przecież nie sposób nie wskazać na wspólne ich korzenie. Na pozór niewiele jest wspólnego między Monetem a Van Goghem, Cézanne'em a Gauguinem. Każdy z nich widział otaczający świat inaczej, próbował go odtworzyć – bądź stworzyć – przy użyciu swej własnej techniki. A przecież łączy ich nie tylko epoka, która ich wydała. Nie tylko koncepcja światła na płótnie, nie tylko podobny rodowód. Łączy ich nade wszystko chyba umiłowanie życia. Z setek zawieszonych w pałacu Jeu de Paume obrazów ponad wszystko woła prawda o pięknie świata, o radości życia. Zarówno baletnice Degasa, jak żniwiarze Van Gogha, tahitańskie dziewczęta Gauguina i damy Moneta, goście prowansalskiej oberży Cézanne'a i panienki paryskiego półświatka Toulouse-Lautreca – wszyscy oni zdają się cenić życie, radować się nim. Czy cenili je modele artystów – nie wiem. Wiem jednak, że cenili je sami artyści. Toteż malowali swoje obrazy z radością, a może i z przekleństwem na ustach. Nie mieli jednak wyboru. Życie ich zmuszało do tego. Musieli się mu poddać, stać się jego apostołami...

Niestety, nie są apostołami życia bywalcy baru „Hôtel-Ellen” z rue Ferdinand Duval w IV dzielnicy Paryża. Postanowiłem odwiedzić ten bar, mam bowiem wiele do niego sentymentu. Przed kilkunastu laty to tutaj właśnie poznałem rodaka z mojego Radłowa, człowieka, którego Los jeszcze w latach dwudziestych wyrzucił na paryski bruk. Nie dziw więc, że, skoro Tadeusz zaproponował „postimpresjonistyczną” kawę, skierowaliśmy się właśnie tutaj.

Bar „Ellen” właściwie w niczym się nie zmienił. Życie dookoła biegnie naprzód, ale on wciąż istnieje. Wciąż też można w nim spotkać

– chociaż coraz rzadziej – polskich rozbitków z lat międzywojennych. Wypędzeni z rodzinnych domów przez kryzys lat trzydziestych, inni przez wojnę, znaleźli w barze „Ellen” swoisty azyl. Tu się schodzą, tu dyskutują, tu się kłócą i radują. Właściciel baru, pan Jakub, zna wszystkich. Wie, kto lubi piwo, kto wino czerwone, kto zaś może pozwolić sobie na *pastisse* lub *pernod*. Niestety, dzisiejsza nasza wizyta w barze „Ellen” przebiegła w nastroju melancholii. Mój rodak zmarł przed rokiem. Nikt nie wie, gdzie go pochowano. Owszem, dobrze pamiętają go. *Palił zawsze cygara, był bardzo honorowy* – powiada pan Janek. Inny gość dorzuca – *spierał się zawsze ze Staszkiem z Warszawy, z tym kape-lusznikiem*. Dziś nie ma już ani Pawła, ani Staszka. Odeszli na zawsze. Ich dawni koledzy przy „balonie” czerwonego wina chcą zapomnieć o swej starości i samotności. Czekają na chwilę, gdy przyjdzie ona – wybawicielka i zamknie im oczy na zawsze. A wtedy nie odwiedzą już baru „Ellen”. Wprowadzą się do niego pewnie nowi lokatorzy, koledzy i kompani owego Ryśka, który porzucił był właśnie studia w Krakowie i przyjechał tu, do Paryża, na zarobek. Na razie pracuje od czasu do czasu jako pomocnik tapeciarsza, wieczorami zaś zmywa naczynia u wujka w barze „Ellen”. Może za miesiąc, może za rok „stanie na nogi”. Dostanie wówczas „papiery”, zacznie zarabiać, żyć... Po to, by po latach znów przychodzić do jakiegoś baru „Ellen” w poszukiwaniu wspomnień o rodzinnym, dalekim kraju, by topić te wspomnienia w lampce czerwonego cienkusza...

18 listopada 1984

Dziś niedziela, dzień świąteczny. Najpierw odwiedzam serce Paryża, czyli katedrę Notre-Dame. Nabożeństwo o godzinie 10.00 ma charakter uroczysty. Środkową, potężną nawę wypełniają wierni. Boczne nawy, odgródzone wysoką drewnianą zaporą, służą setkom turystów za miejsce – stosunkowo wygodne – do zwiedzenia świątyni, a także przyglądnięcia się trwającemu właśnie nabożeństwu.

Samo nabożeństwo przebiega w nastroju powagi i podniosłości. Kapłan wygłaszający naukę mówi pięknie i przekonująco. Nawołuje wiernych do przestrzegania podstawowych kanonów moralności chrześcijańskiej, zarówno w życiu osobistym, jak i społecznym. Pięknie brzmi w starych murach katedry głos chóru – szczególnie w momencie gdy

śpiewa po łacinie *Credo*. Mimo prób trudno przecież skupić się w czasie nabożeństwa. Z jednej strony ogrom tej budowli, z drugiej tłumy przechodzących obok turystów, bezustannie błyskających elektronicznymi lampami aparatów fotograficznych, z trzeciej zaś świadomość jakże długiej i bogatej historii tej świątyni – wszystko to sprawia, że nie sposób oderwać się od otaczającego świata i zastanawiać się nad pięknymi i mądrymi prawdami, o jakich mówi kapłan od ołtarza.

To dziwne, ale Notre-Dame de Paris, pełniąc dziś tak różnorodne funkcje – świątyni, zabytku historycznego, centrum ewangelizacji dorosłych etc. – przykuwa do siebie uwagę nade wszystko chyba swą niepowtarzalną urodą. Nawet dzisiaj, w dzień deszczowy, fascynuje swą koronkową, niepowtarzalną, pełną najbardziej zaskakujących rozwiązań architekturą. Średniowieczni artyści zaiste musieli w czasie przygotowań do tej pracy być w prawdziwym natchnieniu twórczym. Pozostawili nam bowiem arcydzieło architektury, które zachwyca, ale którego nie sposób zrozumieć, wyjaśnić, zgłębić.

Urzeczony urodą architektury i atmosferą wspaniałej świątyni z tym większą radością spieszę na spotkanie z przyjaciółmi, z którymi rozstałem się przed dwunastu laty. José i Cilick w dawnych, prowansalskich latach należeli do najbliższego kręgu moich znajomych. Z radością spieszę teraz do nich. Jak się dowiaduję, właśnie się przeprowadzili. Mieszkają obecnie w jednym z kilkudziesięciu podparyskich osiedli-satelitów. Zajmują cztery pokoje, kuchnię. Miejsca sporo, choć niegdyś wydawało się, że było go więcej. To sprawa dzieci, które w tych latach dorosły, zaczęły się usamodzielniać. Pablo, ten bodaj najbardziej ulubiony przez rodziców syn, od roku pracuje w Tunezji, odrabiając w ten sposób służbę wojskową. Mała niegdyś Ewa, piękna czarnooka pół-Polka, pół-Hiszpanka, a właściwie Francuzka, od pewnego czasu mieszka wraz z Davidem. Właśnie jutro mają przenosić się do nowego trzypokojowego mieszkania. Zakupiła je dla nich matka Dawida... A Miguel? Ten nieznośny niegdyś chłopaczek? Właśnie dziś obchodzi swe dwudzieste urodziny! Ach, ten czas...

Może najmniej zmian zaszło w José i Cilick. Przyproszyła ich mocno – to prawda – jesienna siwizna. Ale wygląda na to, że się nie zmieniła. Chociaż to niezupełnie tak. Zmiany zaszły także w nich, i to spore. Cilick – jak dawniej wprawdzie z upodobaniem zajmuje się poezją, sprawami zaświatowymi, astrologią, tajemniczymi promieniami, robi to jednak z daleko większą rezerwą. Jakby dobrze sobie zdawała spr...

wę z tego, że trzeba chronić ten azyl przed rozpadem, ale – że jest to tylko azyl. José także wyraźnie przekroczył pewną granicę. Niegdyś był zawołanym zwolennikiem prawicy, dziś z przekonaniem broni polityki socjalizującego rządu. Ale nie tylko w polityce zmienił on swe wybory. Także w życiu codziennym stał się mniej dziarski (to daje o sobie znać pięćdziesiątka!), mniej miękki w stosunku do Cilick... Jakby życie dało mu więcej zgryzot niż radości, zmusiło go do większego wysiłku, pracy.

W domu José i Cilick spotykam sporo gości. Przy stole, przy lampce beaujolais (*Beaujolais est arrivé!* – wołają wszędzie napisy), przy kolejnych potrawach, płynie rozmowa dosyć wartko. Oczywiście, nie sposób pominąć spraw polskich. Daje się zauważyć, jak właściwie opinie wszystkich są ogromnie uproszczone. Prawdy, które wygłaszają, są tylko bladymi kalkami rzuconych przez dziennikarzy i polityków hasel. Ale na dobrą sprawę trudno się im dziwić. Kto im ma dać ową pełną wiedzę o tym, co się u nas dzieje? Nie dziw więc, że w czasie rozmowy raz po raz padają okrzyki zdziwienia: ależ to niemożliwe, my o tym nie wiemy, to zupełnie inaczej wygląda z naszej perspektywy...

Każda, nawet najlepsza wizyta musi mieć swój koniec. Ma swój koniec – a nawet i epilog – i ta. Oto bowiem, kiedy około 19:00 opuszczamy gościnny dom Cilick i José, aby powrócić do Paryża, pojawia się nieoczekiwany kłopot: golf Davida nie chce zapalić! Trzeba go popchnąć. Odkładam na bok torbę z notatnikami i kocem – wypożyczonym od Cilick, bo w Cité zimno – i pomagam, ile mogę. Auto w końcu udało się uruchomić. Niestety, nie udało się odzyskać mojej torby! Przepadła na zawsze! Wystarczyło kilka minut, by znikła. Komuś się przydała! Cóż, takie jest życie. Od pierwszego dnia pobytu w Paryżu przestrzegano mnie przed złodziejami. Nie ustrzegłem się i trzeba było opłacić chwilę nieuwagi! Na szczęście dokumenty i pieniądze zostały. Na szczęście...

19 listopada 1984

Początek drugiego tygodnia pobytu w Paryżu. Dzień zaczynam pod dobrym znakiem. Oto w drodze na zajęcia wstępuję do przepięknego starego kościoła Saint-Germain-des-Prés. Mam przystanek metra tuż przy tej świątyni. Nie sposób jej ominąć. Już drugiego dnia pobytu

tu zaglądnąłem tu na chwilę. Dziś mam więcej czasu. Podziwiam też wspaniałe romańskie mury, znakomitą robotę kamieniarską dawnych mistrzów, pochłaniam atmosferę ciszy i spokoju, tak niezwykłą w tej okolicy. Przecież o kilkanaście kroków stąd płynie wartkim strumieniem bulwaru St. Germain fala samochodów, po drugiej stronie placu, tuż naprzeciw wejścia do kościoła, znajduje się sławna w dziejach literatury europejskiej i światowej kawiarnia „Aux Deux Magots” (to tu w okresie powojennym zwykła się zbierać śmietanka literatów, tu wydawano sądy o literaturze, tu ferowano wyroki literackie, które obiegały cały świat!), a tymczasem w tej świątyni, pośród tych murów – ażył ciszy i spokoju. Przechadzam się powoli wzdłuż bocznej lewej nawy i nagle... tak, to tu! To właśnie tu, w kościele St. Germain-des-Prés znajduje się grobowiec naszego króla Jana Kazimierza. Wszak to tutaj nasz król był opatem w ciągu ostatnich czterech lat życia, tu go pochowano w 1672 roku (dopiero po latach przewieziono jego prochy do wawelskiej katedry). Grobowiec królewski wygląda pięknie. Spoglądając nań jakoś nie mogę się opędzić przed refleksją. Jakież wyroki zawiodły cię, Janie Kazimierzu, aż tu, do miasta rozciągającego się nad brzegami Sekwany? Ty, królu, któremu wypadło przejść w życiu tyle nieszczęść, który z uporem walczyłeś o wolność kraju, którego zdradzali tchórzliwi senatorowie i kanclerze, Radziejowscy, Radziwiłłowie i dziesiątki innych, który przysięgałeś w katedrze lwowskiej, że otoczysz opieką chłopów polskich, ty, królu, nie zdzierżyłeś. Złożyłeś koronę i dobrowolnie udałeś się do Francji, aby tu oczekiwać śmierci. Byłeś tragicznie wielkim w tym geście, niepowtarzalnym w naszych dziejach. Miałeś prawo nosić tę koronę do śmierci. A jednak zrzekłeś się jej, czuleś bowiem, że to wysiłek ponad Twoje siły! Trzeba było mieć, zaiste, wiele wewnętrznej siły, by podjąć taką decyzję. Ty ją podjąłeś. Choć zdawałeś sobie sprawę, że nie przysporzysz sobie tym sławy u swoich poddanych. Podjąłeś ją, choć musiałeś przeczuwać, że nie będzie już dla Ciebie powrotu do rodzinnego kraju. Stałeś się też dobrowolnym wygnańcem-tułaczem na całą wieczność. Nie przychodzą do Twego grobu szkolne wycieczki, by uczyć się narodowej historii. Nie odwiedzają Cię tysięczne tłumy turystów. Tylko od czasu do czasu przyjdzie tu do Ciebie jakiś Polak, jak Ty – tułacz, i pomyśli, że nie jest sam, bo przecież kilka wieków wcześniej tułaczy szlak z ziemi polskiej do francuskiej przebył sam król. To niewiele! A jakże dużo zarazem...

20 listopada 1984

Na dworze wichura. Zimno i deszczowo. Aż strach wyjść. A tu nie sposób zostać w domu. Na rue de Lille czekają studenci. Dziś rozporządzam wykłady z literatury polskiej XX wieku. Na sali dwadzieścia osób. Sporo. Cieszę się, bo to znaczy, że chyba spełnią się moje oczekiwania, że chyba uda mi się znaleźć także tu entuzjastów chcących poznać naszą literaturę. Może nie wszystkich, może tylko niektórych. A jednak... Nie zrażam się tym, że w czasie wykładu jeden z młodzieńców – z I roku, chyba Niemiec albo Holender – bezustannie pragnie dać znać o sobie. Przerywa, zadaje dodatkowe pytania, wreszcie – wychodzi. Prawdopodobnie przyszedł w innym celu. Nie po to, żeby słuchać wykładu. Trudno, trzeba być przygotowanym na wszystko. To nie Kraków.

Wieczorem w towarzystwie niezastąpionej Cilick (przywiozła mi nową koldrę!) odwiedzam przepiękny kościół Saint-Séverin. Jest wieczór. W Łacińskiej Dzielnicy (Quartier Latin) życie zdaje się dochodzić do swego normalnego o tej porze natężenia. Wąziutkimi uliczkami, przy których setki kafejek i małych restauracyjek zachwalają swe wyroby – greckie (jest ich chyba najwięcej!), arabskie, tureckie... i Bóg wie jakie, sunie tłum turystów, studentów, gapiów... W oczekiwaniu na Miguela i my wędrujemy pośród tych tłumów. W pewnej chwili Cilick proponuje odwiedzić stojącą obok świątyni. To słynny Saint-Séverin. Prawdziwe cudo francuskiego gotyku. Świątynia niezbyt wysoka, wspaniale wkomponowana w otoczenie. Mimo że zdaje się zapraszać wszystkich przechodniów, odwiedzają ją tylko nieliczni. A przecież właśnie teraz, wieczorem, sprawia ona bodaj najwięcej radości. Panuje w niej półmrok. Z półmroku tego wychylają się dziesiątki przepięknych kolumn dźwigających sklepienie rozciągające się nad pięcioma nawami. Podziwiam pajęczynę kolumn (każda z nich to odrębne dzieło sztuki, każda posiada swój własny wystrój), urodę kolorowych witraży, przez które przebija teraz światło lamp zewnętrznych, słucham delikatnej muzyki organów (widocznie jakiś artysta przygotowuje się do sobotniego koncertu). Wszystko to stwarza niepowtarzalny nastrój. Dla mnie wizyta ta ma jeszcze jeden wymiar. Oto bowiem odnajduję tu, w Saint-Séverin, słynną, wykonaną przez Walentego Wańkowicza kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej z Wilna. Według legendy, przywiózł ją był do Paryża w roku 1841 Andrzej Towiański. Przywiózł na prostym

chłopskim wozie. Najpierw znajdowała się w jednej z kaplic za głównym ołtarzem. Tam zbierali się przy niej polscy tułacze, członkowie Koła Sprawy Bożej, które założył brat Andrzej. W latach czterdziestych XIX wieku stała się ta Matka Boska Ostrobramska opiekunką tych tułaczy, którzy zamierzali wypracować nowy model człowieka, przekształcić zwykłych zjadaczy chleba w aniołów. Modlili się przed tym obrazem Mickiewicz i Słowacki, Goszczyński i Kajsiwicz, Zaleski i... dziesiątki, a może setki innych. Szukali u tej Pani, *która w Ostrej świeci Bramie*, sił na dalszy żywot. A także nadziei na lepszy los Ojczyzny. Od 1866 roku obraz ten znajduje się w bocznej, lewej nawie kościoła. Nie ma już tabliczek wotywnych, jakie umieszczano na nim przez dziesięciolecie. Zachował się jednak wzruszający napis: *O Pani, ku ratunkowi naszemu pośpiesz się...* Dziś przed obrazem tym pusto. Rzadko, niestety, przychodzą tu Polacy. Ale może kiedyś przyjdą. Może przyjdzie czas, gdy uświadomią sobie, że przed tym obrazem znajdą pociechę i wiarę w lepsze jutro...

21 listopada 1984

Zmęczenie – oto jedyne odczucie dzisiejszego dnia. Sześć godzin zajęć wyczerpało mnie zupełnie. Przy tym podła pogoda. Od rana czuję się źle. Wygląda na to, że będzie choroba. W każdym razie zaczyna się źle. Ale nie wolno się poddawać. Siadam do biurka, by napisać listy do rodziny. To pomaga. To wyzwala energię. Powoli wracam do siebie. Zaczynam rozmyślać. Przede wszystkim nad swoim położeniem. Czy ma sens cała ta moja wyprawa do Paryża? W końcu w Krakowie mam spokojną pracę, mam liczne grono przyjaciół. Nade wszystko mam rodzinę: żonę, dzieci. A tu? Sam jeden, w zimnym pokoju, skazany na samotność. Czy jest sens w tym przedsięwzięciu? Pozornie nie. A przecież sam zdecydowałem, zdecydowali też najbliżsi. I chyba dobrze się stało. Chcąc coś osiągnąć, do czegoś dojść, trzeba wysiłku i poświęceń. Przecież nigdy nie stać by mnie było na wyprawę paryską. Tym bardziej nie byłoby mnie stać na sprowadzenie tu rodziny. A tak – będzie to możliwe. To raduje. Bardzo to zmienia monotonię, która zabija życie. Mamy jedno życie i chciałoby się je przeżyć godnie i ciekawie. Niemożliwe to bez starań i poświęceń.

22 listopada 1984

Dzień dzisiejszy przeznaczyłem na załatwienie formalności związanych z planowaną na Boże Narodzenie podróżą do kraju. Trzeba przede wszystkim uzyskać wizę *aller-retour*. W prefekturze policji oświadczone mi, że wizy takiej nie mogę uzyskać aż do czasu, gdy będę miał *carte de séjour*. Wiadomo tymczasem, że na tę kartę czekać trzeba do trzech miesięcy! W tej sytuacji pozostaje tylko ambasada. Tym razem zostaję przyjęty ciepło i – co najważniejsze – po ludzku. Urzędnik w stosunkowo szybkim tempie przygotował odpowiednią notę do francuskiego MSZ-etu. Z notą tą kieruję się do gmachu, w którym rządzi obecnie minister Chesson. Uprzejmy urzędnik przyjmuje notę oraz paszport i oświadcza, że za 24 godziny będę miał żadaną wizę (jak się okazuje, dostaję wizę wielokrotną, z ważnością na pół roku!). Uszczęśliwiony takim obrotem spraw po obiedzie wybieram się do Biblioteki Polskiej przy quai d'Orléans 6. Bywałem tu częstym gościem przed kilkunastu laty, pora więc najwyższa odnowić związkę. Ku swemu zdumieniu zastaję czytelną pełną. Oczywiście, są także znajomi z Krakowa. Nie ma jednak czasu na pogawędkę. Każdy usiłuje skorzystać z okazji i dotrzeć do upatrzonych materiałów. Osobiście wiązę pewne nadzieje z możliwością podjęcia na nowo pracy nad monografią Gaszyńskiego. Dział rękopisów jednak zawodzi; poza znanymi mi już listami do Słowaczyńskiego (wydano je przed laty), brak czegoś interesującego. Pozostaje zająć się jakąś inną sprawą. Odnotowuję z katalogu rękopisów sporo numerów. Zaczynam od biografii Tadeusza Z. Chamskiego. Niestety, spotyka mnie zawód. Rzecz niezbyt interesująca. Dopiero kolejna paczka przynosi oczekiwaną niespodziankę. Są nią listy Stanisława Krzezińskiego do Adama Asnyka. Zarówno autor, jak i adresat byli w 1863 roku członkami Rządu Narodowego, blisko współpracowali z Trauguttem. Potem losy jednego rzuciły do Krakowa, drugi zaś ostał się w Warszawie... Asnyk urosł na sztandarowego poetę pozytywizmu (a raczej parnasizmu) polskiego, Krzeziński stał się ostoją dziennikarstwa warszawskiego, żywym symbolem nieugiętości ducha polskiego wobec zaborcy. Jak widzę, trafiłem na ciekawy ślad. Chyba podążę za nim...

23 listopada 1984

Dzisiejszy dzień upłynął mi pod znakiem Napoleona. Wyruszając do archiwum znajdującego się w gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych (przy wielkiej esplanadzie Inwalidów), zdecydowałem się złożyć wizytę cesarzowi. To prawda, że wizytę tę trzeba było opłacić trzynastoma frankami – co w obecnej mojej sytuacji stanowi poważny wydatek – nie sposób jednak zrezygnować z tego zamiaru. Byłem u cesarza przed kilkunastu laty, pora odświeżyć wspomnienia.

Niestety, spotyka mnie zawód. Przez lata całe przeczytałem niejedno dzieło o „małym kapralu”, oglądałem niejedno album poświęcony jego wojennej epopei, pisałem o wielkich panoramach Wojciecha Koszaka (*Pod piramidami, Somosierra*). Z chwilą wkroczenia w mury kościoła św. Ludwika wszystkie te wątki giną, oddalają się. Pozostaje tylko zimny granit grobowca i straszne w swych kształtach jego otoczenie. Ta narzucająca się widzowi grandilokwencja, to uporczywe wydobywanie zasług cesarza, ta rzymska jego poza na rozlicznych płaskorzeźbach... Wszystko to każe myśleć o nicości czynów ludzkich, o przemijalności potęgi. Kiedyś, przed kilkunastu laty, zwiedzałem dom rodzinny cesarza Napoleona w jego korsykańskim Ajaccio. Zwykły, mieszczański dom, ze zwykłym mieszczańskim wystrojem. Muszę przyznać, że tamta wizyta wzruszyła mnie o wiele bardziej niż dzisiejsze odwiedziny jego grobu. Tam było wiele autentyzmu, były ślady człowieka, mimo że dom jest pusty. Tu, mimo wspaniałego jego grobowca, mimo setek napisów, rzeźb, i tablic, tu właśnie Napoleona nie ma. Są ślady jego idei, a przede wszystkim dokumenty działalności jego małych następców. Jego samego tu jednak nie ma. A szkoda. Może przydałby się dzisiaj Francuzom?

24 listopada 1984

Spośród dzisiejszych rozlicznych wydarzeń odnotować muszę przede wszystkim wizytę na „pchlim targu” (*Marché aux puces*). Wybrałem się w okolice Porte de Clignancourt z Tadeuszem. Na szczęście nie pada, można więc spokojnie zwiedzić tę zachwalaną we wszystkich przewodnikach atrakcję Paryża.

Jak wszystko, co otoczone zostało turystyczną legendą, także i „pchli targ” – co widać już na pierwszy rzut oka – zatracił swój autentyzm. Miejsce zbieraczy-entuzjastów, kolekcjonerów-dziwaków zajął tu dość lukratywny handel. Zniknęły sławne niegdyś budy, prowizoryczne stoiska, *na których wszystko można kupić*. W ich miejscu pojawiły się sklepy wyspecjalizowane w określonej branży, swoiste salony. Tylko gdzieś jeszcze na obrzeżach „pchlego targu” można pooddychać atmosferą na poły odpustową, z nieodłącznym targiem. W jego centrum kwitnie handel znakomicie zorganizowany, nieomal hurtowy. Wyspecjalizowani ajenci „zapędzają” do stoiska przechodniów, wcale nie zamierzając następnie łatwo wypuścić upolowanej zwierzyny z potrzasku. Oczywiście, główne transakcje prowadzą tu z Amerykanami. Pod ich też gust (lub raczej – brak gustu) zaopatrują swe stoiska, ich oczekiwania przenoszą ponad wszystko. W ślad za tym idą ceny – wysokie, niekiedy wręcz horrendalne (przynajmniej dla, jak ja, normalnego śmiertelnika). Dochodzi powoli do przedziwnego zjawiska: ceny na „pchlim targu”, przyciągające kiedyś tłumy paryżan i tysiące turystów oraz studentów, obecnie często znacznie przewyższają te, jakie spotkać można choćby w sieci sklepów słynnego „Tati”. Ów „Tati”, zarabiający najprawdopodobniej miliony na hurtowym handlu (a właściwie detalicznym, który przyjmuje charakter hurtowy!), stał się potężnym konkurentem dla *Marché aux puces*. Tam, do Porte de Clignancourt, jadą dziś przede wszystkim turyści zagraniczni na spotkanie z jeszcze jedną atrakcją Paryża. Do „Tatiego” podąża przede wszystkim biedny Paryż, aby zaopatrzyć się we wszystko, co potrzebne do życia, a co niezbyt drogie. „Tati” zrozumiał, na czym polega dzisiaj istota handlu. Toteż każdy towar sprzedaje taniej niż najbliższy jego konkurent. Ale towar ten nigdy nie leży na półce, jest w ciągłym ruchu. Bo handlować to przede wszystkim znaczy sprzedawać. I „Tati” sprzedaje...

25 listopada 1984

Dziś niedziela, dzień odpoczynku, skupienia. Oczywiście, nie dla wszystkich. Są jednak miejsca, gdzie można choć na chwilę oderwać się od spraw codziennych, zagłębić się w sobie. Dla jednych miejscem tym jest świątynia, dla drugich muzeum, dla jeszcze innych sala koncertowa, teatr, kino... Mnie dziś spotkała przyjemna niespodzianka

w kościele. To wspaniała w swej koncepcji i wyrazie wystawa rzeźby religijnej Józefa Pyrza w kościele Saint-Germain-des-Prés! Przyjechałem do tego prastarego kościoła (ufundowanego jeszcze w VI wieku!) na niedzielną mszę. Jakież było jednak moje zdumienie, gdy usłyszałem w pewnej chwili komunikat księdza, że wystawione w bocznych nawach piękne rzeźby w drewnie są dziełem polskiego twórcy! Nie dziwi więc, że znalazłem się pośród tych wiernych, którzy po mszy św. zgrupowali się wokół artysty, by wysłuchać jego objaśnień. Pyrz – człowiek uroczy, z wyglądu przypominający nieco Toulouse-Lautreca, mówi po francusku z obcym akcentem, ale mówi płynnie i ciekawie. Opowiada o procesie tworzenia, wyjaśnia przesłanie ideowe poszczególnych rzeźb, kreśli obraz swej pracy. Słuchając go, oglądając niepowtarzalne w swym uroku rzeźby (przede wszystkim *Zwiastowanie*, ale także *David i Goliat*, *Ave Maria*, *Adam i Ewa*, *Jakubowa drabina*, *Kain i Abel* czy wreszcie *Autoportret*) zapomina się o świecie i jego troskach, o jego grzechach i zbrodniach. Dzięki pracy rąk tego rodaka spod Bochni, który od sześciu lat mieszka w Paryżu, mam chwilę autentycznej radości. Nie potrafię wyjaśnić, w czym tkwi tajemnica rzeźb Pyrza – to prawda. Ale muszę oddać sprawiedliwość jego pracy, która – jak widać – nie jest ani łatwa, ani prosta, ale która nade wszystko niesie pociechę. Oglądając pełne ruchu i lekkości dzieła tego artysty przypomina się tylko Van Gogh. Tamten zastosował własną, niepowtarzalną technikę w malarstwie. Pyrz zdaje się iść właśnie jego śladem: rzeźbi podobną „grubą kreską”. Tamten tworzył pejzaże, martwe natury, portrety o niepowtarzalnym uroku i kolorystyce, ten, parając się dłutem, nadaje potężnym pniom drzewnym niecodzienne kształty, pełne ruchu i powietrza. Tamtego znają miliony. Ten, syn drwała z Niepołomickiej Puszczy, szuka widzów wśród wiernych, wśród tych, którzy również zwykli się przynajmniej od czasu do czasu zatrzymać chwilę w biegu życia i zadawać pytanie – dokąd biegnę?

26 listopada 1984

Wczorajsza, niedzielna, pierwsza z zaplanowanych wielu wypraw do Luwru wciąż nie daje mi spokoju. Spędziłem w salach tego niezwykłego muzeum kilka godzin. Byłem tu nie po raz pierwszy; przed laty nieraz wpadałem tu, by „pooddychać” sztuką, by nabrać ochoty do

życia, do pracy. Wczorajszą wyprawę – jak wszystkie bodaj poprzednie – rozpocząłem od niepowtarzalnej w swym wdzięku, wielkiej w swym kalectwie *Nike Zwycięskiej*. Jej wspaniała postać nie tylko świadczy o geniuszu artystów greckich; zdaje się nade wszystko symbolizować zwycięstwo sztuki nad barbarzyństwem zniszczenia, które tak dotkliwie ją okaleczyło, ale nie potrafiło odebrać jej wielkości i piękna.

Przyszła potem kolej na sale z malarstwem europejskim, przede wszystkim francuskim. Wędrując przez te sale nie potrafiłem się przecieź ani wzruszyć, ani zachwycić. Bezustannie powracała mi na myśl niedawna wizyta u impresjonistów, bezustannie dokonywałem też porównań. Trudno ukryć, ale szkoła francuska z Luwru w zestawieniu z tamtym malarstwem wypada bardzo błado. Nawet tak bardzo wielbiony przez Francuzów David z „nieśmiertelną” Marianną na barykadach nie potrafi się obronić. Nic zatem dziwnego, że przyspieszam kroku chcąc dotrzeć do skarbów Wielkiej Galerii, do dzieł Tycjana, Rafaela i Leonarda. Przed *Giocondą*, chronioną specjalną szafą i kuloodporną szybą – tłum obcokrajowców, przede wszystkim Japończyków. Cisną się, robią zdjęcia... A tuż obok tyle wspaniałości! Wydaje się, że wyrządzono dziełu Leonarda mimo wszystko szkodę okrzykując je największym arcydziełem malarstwa światowego. Nawet gdyby się jej należało to miejsce, nie trzeba było robić tego w taki sposób. Na dobrą sprawę dziś mało kto ogląda *Giocondę* jako dzieło mistrza Leonarda. Każdy pragnie stanąć przy arcydziele, upamiętnić tę chwilę... Szkoda *Giocondy*, tym bardziej że nie zasłużyła na ten los...

Pociechę znajduję jednak tuż obok, w spokoju rozkoszując się innymi dziełami Leonarda, w tym przede wszystkim jego *Piękną Florentynką*. Nie mniej radości przynosi mi spotkanie z Rafaelem, z Tycjanem i tyłoma innymi mistrzami włoskiego renesansu! Nie kryję jednak, że w sposób szczególny zabiło mi serce, gdy w galerii Luwru stanąłem nagle przed trzema obrazami Domenica Ghirlandaia. To on przed kilku laty zachęcił mnie do licznych powrotów do lizbońskiego Muzeum Gulbenkiana. To on namalował ów niepowtarzalny w swej urodzie *Portret dziewczyny*, którego kopia zdobi moje krakowskie mieszkanie. On, nauczyciel wielkiego Michała Anioła, trafił także do Luwru. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego polubiłem jego dzieła. Może dlatego, że przecierał dopiero ścieżki wielkim twórcom renesansu, że, wyrastając z tradycji gotyku, musiał może w sposób szczególny walczyć z tradycją, z regułami, by stworzyć nowy świat? Nie wiem. Wiem jednak, że

czuję dlań ogromnie dużo sympatii, że należy do moich ulubionych twórców. Że w tej mojej prywatnej galerii zajmuje miejsce tuż obok uroczego Brata Anielskiego (zaszczyconego w galerii Luwru zaledwie dwoma obrazami!) i wciąż niepokojącego Metsysa Quentina. Żaden bodaj z nich nie osiągnął wyżyn sztuki malarskiej, żaden nie stał się mistrzem światowym, ale każdy z nich miał na pewno nie tylko talent. Z całą pewnością kochał sztukę, którą zaklął w kolorach! Może właśnie dlatego stali mi się oni tacy bliscy i drodzy? Arcydzieła onieśmielają, swą doskonałością jakże często porażają. Dzieła pozostające w cieniu arcydzieł pozwalają nawiązać bliższy kontakt z ich twórcą, stają się bardziej ludzkie, bliższe sercu!

27 listopada 1984

Spisanie refleksji z wizyty w Luwrze zajęło mi tyle miejsca, że nie starczyło go na odnotowanie wrażeń z pierwszej w czasie tego mojego pobytu w Paryżu przechadzki po sławnej we wszystkich bodaj zakątkach świata dzielnicy zepsucia – Pigalle. Znalazłem się tu trochę przypadkowo. To prawda, że nie w chwili pełnego jej życia, nie około północy, niemniej wystarczyło tego, aby stwierdzić przynajmniej jedno: że zatraciła ona chyba w całości swój sławny francuski wdzięk. Wprawdzie nad placem Blanche nadal kręcą się skrzydła „Czerwonego Młyna”, nadal można tu kupić miłość, ale nie jest to już Pigalle z legendy. Amerykańskie dolary, amerykańscy turyści sprawili, że mamy tu do czynienia z przedziwną mieszaniną francuskiej lekkości z brutalnością rodem zza oceanu. Miejsce kafejek i maleńkich barów zajęły luksusowe przybytki rozpusty, restauracje, sex-shopy, kina z pornograficznym repertuarem. Pojawili się w ogromnej liczbie „naganiacze”, uprawiający swą działalność w sposób nachalny, a nierzadko brutalny. W ten sposób właściwie chyba raz na zawsze przepadła legenda o paryskim Pigalle. Rodzi się nowa, obca kulturze basenu Morza Śródziemnego legenda skrojona „na gust amerykański”. Ale na dobrą sprawę nie ma czego opłakiwać. Można tylko stwierdzić, że może właśnie w tej konkretnej dziedzinie najwidoczniej daje o sobie znać proces podboju Europy Zachodniej, a przede wszystkim Francji, przez Amerykę. Na innych polach Francuzi starają się jeszcze podkreślać swoją niezależność, tu skapitulowali. Wyłom został wykonany, pora na opanowanie twierdzy...

28 listopada 1984

Dziś cały dzień w Instytucie. Zajęcia od rana do wieczora. Trochę ciężko. W południe musiałem się chwilę zdrzemnąć, nie byłbym bowiem w stanie poprowadzić zajęć popołudniowych. Właściwie nic się dzisiaj nie działo. W Paryżu zimno (w pokoju jeszcze bardziej!), ludzie przemykają się w pośpiechu do pracy i z pracy. Nawet kłoszardzi gdzieś pozaszywali się w swoich norach. Nie rezygnują tylko wędrowni grajkowie z metra. Jedni wędrują od wagonu do wagonu i śpiewają – przy wtórze gitary – pieśni meksykańskie, hiszpańskie ale i francuskie w nadziei, że dostaną parę centymów, inni tworzą małe zespoły i koncertują na większych stacjach. Dziś przypadł mi do gustu egzotyczny zespół (chyba z Ameryki Południowej) koncertujący na stacji Montparnasse. W śpiewanych przez nich piosenkach tyle było młodzieńczej radości, tyle urokliwej egzotyki, że choć na chwilę zapomniałem o zmęczeniu. Wczoraj wieczorem byłem w Instytucie Polskim na wernisażu wystawy Jana Ekierta. Poszedłem tam wiedziony może nie tyle chęcią zobaczenia samej wystawy – zresztą niezbyt w sumie ciekawej (może najlepsze były jeszcze pejzaże biblijne i weneckie), ile spotkania człowieka, którego wydała Kombornia! W zaproszeniu wyczytałem bowiem, że p. Ekiert urodził się w roku 1907 właśnie we wsi prof. Pigionia, że mieszka w Paryżu od 1946 roku, że wystawiał swoje obrazy zarówno we Francji, jak i w Stanach Zjednoczonych, Izraelu, Anglii itd. W gronie kilkudziesięciu gości, którzy przybyli na wernisaż (niezbyt to doborowe towarzystwo!) bez trudu odnalazłem artystę. Nie ma on w sobie nic z malarza, z pozy. Rozpoznać go jednak łatwo – wszak to człowiek tak nieprawdopodobnie podobny do Pigionia! To niezwykle! Nie byli przecież krewnymi (potwierdził to p. Ekiert), a ich sylwetki, ich wizerunki są tak bliźniaczo podobne! Przedziwna ta Kombornia, która wypuszcza w świat takich ludzi!

W czasie długiej rozmowy z p. Ekiertem obiecałem mu, że kiedyś zadzwonię i odwiedzę go. Pewno rzeczywiście to uczynię. Tym bardziej że on zdaje się być bardzo samotny (zmarła mu ostatnio żona), szuka kontaktu z ludźmi „stamtąd”, z „jego” ziemi! Z wielką radością słuchał mojej relacji z uroczystości, w jakiej uczestniczyłem przed trzema laty, nadania szkole w Komborni imienia prof. Stanisława Pigionia! Pewno będzie o czym rozmawiać. Zapowiedziały u niego wizytę także Cilick z córką Ewą, które wraz z Tadeuszem zaciągnąłem na ten

wernisaż, i z którymi po uroczystości zjadłem kolację (w mieszkaniu Ewy zakupionym przez jej teściową!). Tak oto zupełnie nieoczekiwanie w Paryżu zbiegły się w jednym momencie echa pięknej muzyki spod Andów i wspomnienia z Komborni. Może to nie przypadek? Wszak to miasto na każdym kroku gotuje niespodzianki!

29 listopada 1984

Pamiętny to dzień w naszej narodowej historii. W roku 1830 wieczorem, o tej mniej więcej porze, w której piszę te słowa, rozległy się w Warszawie głośnie okrzyki i nawoływania młodych podchorążych: do bronii! Jedni od lat czekali na ten okrzyk. Tym zabiły radośniej serca, napełniły się nadzieją, że jednak... że jeszcze nie umarła, że jeszcze żyje Polska! Inni w przerażeniu zaczęli szczelnie zamykać okiennice i bramy domów, aby głos ten nie mógł się wcisnąć do ich zbrukanych sumień. Dzień ten stał się dla wielu dziesiątków tysięcy Polaków chwilą przełomową. Nagle załamał się budowany od wielu lat ich świat, pojawił się świat nowy, inny... Większość z nich uwierzyła w ten nowy świat, w możliwość odbudowania niepodległej Polski. Pospieszyła też młodzież oraz starsi do szeregów powstańczych. Tysiące złożyło tej wierze świadectwo ze swej krwi i życia. Inni w długich kolumnach podążyli na polską nieludzką ziemię, na męczeński Sybir. Wielu podążyło w poprzek Europy – na wieczne wygnanie. Większość z nich zatrzymała się tutaj, we Francji. Jednych zamknięto w obozach (*depôts*), inni skierowali się do Paryża. Prawie wszyscy szli tu z nadzieją, że pobyt ten potrwa krótko, że niedługo wrócą nad Wisłę, że przyjdzie im jeszcze stoczyć jeden bój – ostatni, ale zwycięski. A wtedy Polska będzie Polską. Jakże srodze się zawiedli. Płynęły dni, miesiące i lata. Nadzieje zaczęły rozplýwać się we mgłę, szeregi żołnierzy wolności zaczęły rzednąć. Wreszcie zeszedli ze sceny. Ale schodząc – zostawili ogromny dorobek polskiej myśli, polskiej nadziei – na lepsze, sprawiedliwsze jutro. Ziemia francuska przyjęła ich prochy, ale myśl ich stała się pokarmem dla synów i córek, dla następnych pokoleń, które miały strzec tego dziedzictwa. Tak było przez lata. A dziś?

Właśnie wróciłem z Biblioteki Polskiej przy quai de'Orléans. Pracowałem tam kilka godzin popołudniowych (otwarta jest tylko po południu!). Obok mnie – kilkanaście osób. Jedni wertowali stare roczniki

czasopism, inni zagłębiali się w stare rękopisy, jeszcze inni po prostu czytali polskie książki. Ta biblioteka i to muzeum Mickiewicza – to ich dzieło! To dzieło tych, którym dzień 29 listopada zabrzmiał radośnie, a których los skazał na wieczne wygnanie. Okazuje się, że to dzieło wciąż żyje. I chociaż dziś w Bibliotece nikt nie wspomniał nawet o rocznicy, chociaż na tablicy znalazłem tylko małe zawiadomienie o zebraniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego w dniu 1 grudnia – zwołanym z tej właśnie okazji – to przecież nie sposób pominąć milczeniem tej rocznicy. Nie sposób nie przywołać raz jeszcze tych pełnych entuzjazmu podchorążych nawołujących swych współbraci do broni. Nie sposób nie oddać im należnej czci.

30 listopada 1984

Od wczoraj moje życie w Paryżu wyglądać zaczyna zupełnie inaczej. Przez trzy tygodnie żyłem tu w bezustannej niepewności o jutro. Przywiezione z domu, a także pochodzące z drobnych pożyczek u znajomych zasoby pieniężne kurczyły się z dnia na dzień. Sytuacja stawała się coraz nieznośniejsza. Podjąłem wprawdzie zabiegi o pożyczkę w Instytucie Polskim (złożyłem nawet podanie w tej sprawie), nie przyniosły one jednak żadnego skutku. Pan dyrektor odsyłał mnie z dnia na dzień, nie bardzo wiedząc, co ze mną zrobić. Aż oto wreszcie wczoraj otrzymałem zaliczkę pierwszej pensji. Stałem się niezależny. To ogromna ulga, psychiczny luz. Nareszcie będę mógł kupić sobie najbardziej potrzebne drobiazgi (jak proszek do prania, szampon, a przede wszystkim – zapasy żywnościowe). Nareszcie...

Dziś od rana robię zakupy. Przede wszystkim jadę do „Tatiego”, aby zrobić kilka zakupów dla moich najbliższych. Pojutrze jedzie do Krakowa p. F., obiecała zabrać małe upominki na św. Mikołaja dla moich dzieci. Jadę do „Tatiego” z Tadeuszem. Nieoczekiwanie Tadeusz spotyka tu jednak swoją kuzynkę, która – jak się okazuje – przed pięcioma dniami zjechała do Paryża... z Oslo na tygodniową wycieczkę. I oczywiście trafiła do „Tatiego”! Ale właściwie inaczej być nie mogło. Wszak wiadomo, że tu najtaniej we Francji, że tu język polski należy chyba do „światowych” (o każdej porze dnia słyhać polski język w tym wielkim sklepie!). Nic dziwnego więc, że dochodzi tu do najmniej oczekiwanych spotkań. Straciwszy w ten sposób towarzysza, sam dokonuję zakupów

i radosny wracam do domu. Po południu – oczywiście, w bibliotece. Wieczorem zaś – telefon do Krakowa. Rozmawiam z moimi bliskimi. Co za radość słyszeć ich głosy. Tym bardziej że u mnie, w akademiku, zupełnie głucho. Jak w pustelni...

1 grudnia 1984

Ustawiczna gonitwa, wieczna wędrówka metrem, to znów piechotą, sprawiły, że dziś niezbyt chętnie wstałem z łóżka. Mimo wszystko przegram się. Przecież w Bibliotece czekają na mnie... listy Krzezińskiego do Asnyka. Postanowiłem zrobić ich odpisy i nie żałuję tej decyzji. Robotą to znużająca, ale jakże ciekawa zarazem. Krzeziński, Asnyk to generacja pozytywistów. Ale jakież rodowód? Obaj byli członkami Rządu Narodowego w 1863 roku, obaj blisko współpracowali z Trauguttem, obu przetrącono skrzydła. A przecież nie załamali się, nie zwątpili. Ileż siły w tych ludziach, samozaparcia. Skoro nie można służyć ojczyźnie z bronią w ręku, postanowili służyć jej piórem, talentem, pracą! I służyli. Nie, nie żałuję tej decyzji. Nawet gdyby się miało okazać, że nie uda mi się ogłosić drukiem tych listów, wiem, że nie tracę czasu przy ich kopiowaniu. Uczę się od tych ludzi szacunku dla pewnych wartości wyższych. To wiele, bardzo wiele...

2 grudnia 1984

Na dzisiaj zaplanowaliśmy z Tadeuszem wyprawę do zamku Vincennes, leżącego na wschodnich rubieżach Paryża. Jedziemy tam metrem (co za wspaniałe wynalazek – to metro!). Jest zimno, wietrznie. Zamek widać z oddali. Wygląda imponująco. Dookoła potężne mury, głęboka fosa... Trafiamy wreszcie do bramy wjazdowej. Cisza, spokój. Dookoła żywej duszy. Paniątka w kasie powiada, że winniśmy zaczekać. Za 45 minut będziemy mogli zwiedzić *Donjon* wraz z przewodnikiem. Cóż zrobić, trzeba się zgodzić. Robimy tymczasem wizytę w zamku na własną rękę. Tuż obok wznosi się wspaniała Święta Kaplica. Niestety, zamknięta od paru lat. Trwają w niej prace konserwatorskie. Niedaleko za kaplicą – długie, niskie zabudowania fortecy. Tam przechowywane są zbiory archiwalne do dziejów armii francuskiej. Na chwilę przysta-

jemy. To wszak tu, w tych fortach, znajdują się podobno dokumenty do dziejów polskich formacji wojskowych walczących u boku Francuzów. Gdzieś czytałem, że dokumentów tych są ogromne ilości, tysiące. Czy je zbadano do końca? A może spróbować i tu? Może czeka mnie tu jeszcze jedna niespodzianka? Może kiedyś podejmą się tego inni. Teraz pora najwyższa do *Donjon*, czyli do potężnego zamku gotyckiego z XIII wieku. Zbudowanego – jak objaśnia sympatyczny przewodnik – przez królów Francji dla nich, na ich własny użytek. Tak też było. Przez blisko 300 lat mieszkali tu królowie francuscy, choć niezbyt to było wygodne mieszkanie! Oglądamy więc piękne XIII–XIV-wieczne sale królewskie na różnych piętrach, wszystkie zbudowane według tej samej zasady: sklepienie sali wznosi się na centralnie położonym piłastrze. Obok sal królewskich – małe salki dla królowych, ale i dla służby. Gdy oglądam te cuda gotyckiej architektury, ogarnia mnie wzruszenie. To przecież tu, do tego zamku w roku 1416 dotarła była delegacja polska z arcybiskupem Trąbą, Janem z Tuliszkowa i Zawiszą Czarnym w nadziei, że król Francji pogodzi ostatecznie Polskę z Zakonem Krzyżackim! Po tych kamieniach chodził więc i w tych salach rozlegał się głos Zawiszy, „tego” Zawiszy, nad którego legendą spędziłem niedawno kilka miesięcy! Co za dziwny zbieg okoliczności!

Zainteresowanie moje zamkiem *Donjon* znacznie wzrasta, gdy dowiaduję się, że w nim więziono w latach trzydziestych XVII wieku królewicza Jana Kazimierza! A zatem dotarłem do trzeciego jego więzienia we Francji! I ostatniego. Pamiętam, z jakim przed laty wzruszeniem wędrowałem po ruinach zamku w Salon-de-Provence, dokąd żołnierze kardynała Richelieu zawieźli najpierw pochwyczonego przypadkowo w Saintes-Maries-de-la-Mer polskiego królewicza zdążającego na austriackiej fregacie do Hiszpanii w nadziei otrzymania tronu wicekróla Portugalii. W tamtejszym kościółku udało mi się nawet odczytać pamiątkową tablicę, jaką uczczono pośmiertnie jednego z dostojników polskich towarzyszących królewiczowi, niejakiego Korzyckiego. Później trafiłem do zagubionego u podnóży Alp Sisteron, gdzie królewicz polski spędził wiele długich miesięcy. Dziś wreszcie dotarłem do *Donjon* – ostatniego etapu tej przedziwnej przygody późniejszego polskiego władcy. Ze wzruszeniem dotykam starych murów. Słucham opowieści o sławnych więźniach *Donjon* (zamek pełnił tę funkcję od XVI wieku aż do 1784 roku!), o markizie de Sade i Mirabeau, o Diderocie i naszej Marii z rodu Gonzagów, o rozstrzelanym w pobliskiej fosie – na rozkaz

Napoleona – księciu d’Engchien i sławnym „królu ucieczek” hrabim B., który najpierw pięciokrotnie zbiegł z Bastylii, a następnie także i z *Donjon* (wyczyn ten opisał Aleksander Dumas w powieści *W 20 lat później!*). Ale wszystkie te opowieści przesłania mi właściwie „polska” historia zamku w Vincennes. Ta rycersko-królewska z *Donjon* i żołniersko-tułacza z pobliskiego fortu – archiwum. Toteż kiedy wieczorem dotarłem do katedry Notre-Dame na mszę świętą celebrowaną przez arcybiskupa Paryża Lustigiera, kiedy po mszy w mroku katedry rozległy się wspaniałe organy – wydawało mi się, że zamknięty został w ten sposób jeden z piękniejszych moich tutaj dni. Doprawdy, te organy u Panny Marii grały także... po polsku!

3 grudnia 1984

Poniedziałek – zatem dzień pracy. W Paryżu leje, zimno. Po południu spędzam kilka godzin w Bibliotece Polskiej – przy listach Krzeмиńskiego do Asnyka. Traktuję tę robotę trochę jako sprawdzanie siły swojego charakteru. Praca to bowiem nużąca. Daje jednak satysfakcję. Listy są rzeczywiście ciekawe. Wyłania się z nich człowiek, który mimo upływu lat, mimo wielu zawodów, jakie sprawiło mu życie, nigdy właściwie nie złożył broni. Pozostał wierny swym ideałom młodości.

Wieczorem – chwila refleksji. To dziś mija osiemnasta rocznica naszego ślubu! Ani się spostrzegłem, jak minęły te lata. Długie i piękne lata! Co tam porabia dziś moja żona, czy wspólnie z dziećmi obchodzi rocznicę? Dziś bardzo chciałbym być tam, przy nich!

4 grudnia 1984

Od pierwszego dnia przyjazdu do Paryża wiedziałem, że w tym dniu czeka mnie wyjątkowa wizyta u pani Helft, właścicielki wielkiego wydawnictwa. Zorganizowała mi tę wizytę nieoceniona Cilick. Kilka dni temu zadzwoniła, że zostałem zaproszony przez panią Helft na „wieczór literacki”, na który ma przybyć wytworne towarzystwo. „Słowo się rzekło, kobyłka u płota”. Wieczorem w towarzystwie Cilick, Ewy i Davida jedziemy do pani Helft (czyli matki Davida). W samochodzie dowiaduję się, że będzie około 25 osób: poetów, krytyków literackich,

uczonych itp. Nie ukrywam, że progi mieszkania p. Helft przekraczałem z pewną obawą. W salonie zastaliśmy już kilkanaście osób. Później przyszli następni. Któż to był? Niestety, można się było tylko zorientować nieco powierzchownie. Wyglądało na to, że większość to literaci (literatki). Był jeden bardzo interesująco rozprawiający krytyk literacki a przede wszystkim prof. Sorbony – historyk Ellenstein, autor wielu dzieł naukowych (nadto ośmiu scenariuszy filmów dla TV o tematyce historycznej), człowiek posiadający wielu przyjaciół w najwyższych sferach Paryża.

Wieczór poświęcony był pamięci zmarłego przed kilkoma tygodniami byłego uczestnika spotkań, poety G. Delle Nogar, autora około czterdziestu książek. Piękne wspomnienie o nim wygłosiła p. Helft. Sporo informacji dorzucił wspomniany krytyk. Ta oficjalna część wieczoru zamknięta została przejściem do sąsiedniego pokoju – na mały posiłek (kanapki, ciastka, napoje). Po około godzinnej przerwie wszyscy goście zaproszeni zostali z powrotem do salonu. Tam jeden z panów – powieściopisarz (tak został przedstawiony) – odczytał fragment swej nowej powieści, której druk rozpoczęło właśnie jakieś pismo. Powieść chyba niezbyt wysokich lotów, początek zdaje się bowiem zapowiadać *Smutną Wenecję* Waława Kubackiego. Teraz, ok. 23.00, zjawili się jeszcze kolejni goście. Przybyła pani – jak się okazało – jest najbliższą współpracownicą p. Helft w wydawnictwie. Wspólnie przedstawiły plan wydawnictwa na przyszły rok. Między innymi obie panie zaapelowały do obecnych o zgłaszanie propozycji do nowej serii krótkich tekstów (do 50 stron)...

Tak mniej więcej wyglądał wieczór literacki, z którego wyszedłem po północy. Gdy dziś patrzę na to wydarzenie, zdaje mi się, że przynajmniej połowa ludzi tam zgromadzonych pojawiła się przypadkowo (szczególnie starsze panie co chwilę wznoszące okrzyki zachwytu w czasie lektury tekstów). Albo raczej – pojawili się tam nie ze względu na swe walory intelektualne, ile bankowe. Osobiście miałem sporo satysfakcji z rozmowy z profesorem Ellensteinem. Rozmawialiśmy długo o najnowszej historii: o Jałcie (właśnie ukończył pracę nad scenariuszem widowiska TV na ten temat), o Roosevelcie, Churchillu i Wilsonie. Zaskoczyło mnie przede wszystkim to, że ani on, ani inni jego znajomi, w końcu intelektualści, nie posiadają żadnych wiadomości o polskiej kulturze. Jeden z pisarzy – bardzo ruchliwy w towarzystwie – słyszał o jakimś poecie polskim, który ma pomnik w Paryżu, ale, nie-

stety, nie potrafił wymienić jego nazwiska! Rozpacz ogarnia człowieka, gdy widzi, jak wyglądają sprawy polskie z bliska we Francji. Prof. Ellenstein, który niedawno wrócił był z USA, żalił się, iż Amerykanie w ogóle nie zauważają Francji (porównał sprawę Francji w USA do sprawy Gabonu we Francji). Myślę, że podobnie jest ze sprawą Polski we Francji. W polityce sprawa polska wprawdzie raz po raz odbija się echem. W kulturze jednak wciąż należy do egzotyki.

Opuszczając dom p. Helft otrzymałem zaproszenie na kolejne wtorki. Nie wiem, czy pójdę tam. Nie wiem, czy przygotuję tomik „polski” do serii (na co otrzymałem zamówienie). Wiem jednak, że spędziłem u p. Helft wieczór bardzo interesujący i dość pouczający.

5–6 grudnia 1984

Nic ciekawego. Mocne przeziębienie, kaszel, ból gardła... Staram się leczyć. Nie wiem, co z tego będzie.

7 grudnia 1984

Nastąpiło wyraźne przesilenie w mojej chorobie. Zażyłem parę pastylek, wypilem pół butelki zagotowanego (z pieprzem) wina, wypociłem się i zaczynam wracać do formy. Jak w każdym tygodniu, zadzwoniłem do domu: wszystko w porządku! Moi kochani wyraźnie czekali na telefon. Dagusia wprawdzie zwichnęła nogę – ale podobno niezbyt groźnie. Miejmy nadzieję.

Wieczorem wybieram się na ul. Surcouf. Tu, w pobliżu Placu Inwalidów, pallotyni polscy mają swój ośrodek kultury polskiej, organizują co miesiąc spotkania z pisarzami. Z ogłoszenia w Bibliotece Polskiej dowiedziałem się, że dzisiaj będzie Kazimierz Brandys. Trudno zmarnować taką okazję! Przyszedłem nieco za późno. Salka zapełniona była już po brzegi, sporo ludzi na korytarzach (radiofonizowanych!). Przysiadłem i ja na schodach. Brandys czytał fragmenty różnych tekstów. Były więc rzeczy z lat popaździernikowych, z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i ostatnich. Głos ma przyjemny (niestety, osoby nie udało mi się dostrzec), teksty starannie dobrane. Bardzo ciekawie wyglądało wspomnienie z pierwszych lat powojennych – z pobytu w Kra-

kowie (jeden rok) i Warszawie. Ujęta w formę wspomnienia próba oddania charakteru tych dwu miast pełna była ciepła i miłości. Wizja zapewne niepełna, cenna jednak chyba przede wszystkim ze względu na nietypową formę – prześwietlona bowiem przez osobę narratora. Równie interesująco wyglądał tekst następny: również pozornie będący wspomnieniem z pobytu pisarza w Belgradzie na zjeździe międzynarodowym, w rzeczywistości zaś będący bardzo interesującym esejem o języku narodowym, polskim. Brandys zatrzymał się przy fonetyce naszego języka, mówił dużo o składni, interesował go przecież nade wszystko walor narodowy języka – walor ludzki, polski. Nieoczekiwanie esej ten przerodził się w rozprawę o... ojczyźnie. Najprawdopodobniej zamierzonym świadomie przez autora zgrzytem był jego tekst następny – opowiadanie o psie, karlicy i warszawskich chuliganach. Pisarzowi chodziło najprawdopodobniej o wyrwanie słuchaczy z błogiego snu-marzenia o pięknie języka polskiego. Uczynił to w sposób drapieżny, nie wahając się użyć w tekście wyrazów o rodowodzie obscenicznym, ze stajni językowej. Efekt był świetny. Czy w pełni pojęli go słuchacze, nie wiem. Wiem natomiast, że miał ten tekst zapowiedzieć ostatnią część wieczoru: fragment *Miesiący*, czyli wspomnienie o Białoszewskim. Ubrane tym razem w kontury wzruszającego przypomnienia spotkań z wielkim zmarłym poetą, połączonego z opowieścią o wieczorze jemu poświęconym właśnie w salce przy ul. Surcouf, było przecież jeszcze jednym ogniwem tej samej gawędy-opowieści o języku. Przypomnienie Białoszewskiego – poety, który jak żaden bodaj inny z naszych twórców zagarnął dla poezji różne żargony środowiskowe, pseudojęzyki, miało słuchaczom uzmysłwić nie tylko bogactwo naszego języka, ale chyba przede wszystkim jego przedziwną, tajemniczą, niekiedy nawet przerażającą „pojemność”, jego niezwykle byt, istność...

Doprawdy, niezwykle starannie dobrał Brandys teksty na ten wieczór literacki. Uczynił też ze spotkania prawdziwą ucztę. Nie potrafiły też uczyły tej zepsuć przypadkowe pytania uczestników usiłujące wciągnąć gościa w dyskusję o polityce. Zwłaszcza że odmówił on grzecznie, ale stanowczo, odpowiedzi na tego typu pytania. Ostrożność? Chyba nie. Raczej świadome unikanie terenów sobie obcych.

8 grudnia 1984

Dostałem dziś list od Anny Teste z Aix-en-Provence. Ogromnie się ucieszyłem. Przyszedł bowiem wraz z listami moich dwóch pociech. Dagusia rozpisala się szeroko i rzeczowo, z lekką nutką żartobliwości, Dominik zaś od serca. Wzruszyłem się ogromnie w czasie lektury jego liściku. Napisał go jeszcze niezbyt poprawnie, ale z jakąż świadomością warsztatu! Chyba ma coś z iskry Bożej! Oby!

Ania natomiast zwraca się z prośbą: o możliwie szybkie dostarczenie lekarstw do Warszawy. Sprawa będzie – jak mi się wydaje – załatwiona pomyślnie w najbliższych dniach.

Po południu wybrałem się na Montmartre. Na ten sławny, uroczy, owiany niejedną legendą Montmartre! Włóczęc się uliczkami, oglądając toczące się tu (głównie właśnie na ulicy!) życie handlowe i towarzyskie, wracam myślą do lektur o Montmartrze Verlaine'a i Rimbauda, do filmu *Pod dachami Paryża...* Jest to przecież zupełnie inne miasto! Tam, w dole, rozpanoszył się nasz wiek XX w całej swej nieznośnej niekiedy nowoczesności. Tam suną setki tysięcy samochodów, tam istnieją wspaniałe autostrady, tam są wielkie (i drogie!) sklepy, salony mody, wykwintne hotele, nadzwyczajne zabytki... Tam jest wszystko. Z wyjątkiem chyba tylko – serca! Bo serce Paryża bije chyba właśnie tu, na zboczu tego wzgórza, u stóp Sacré-Coeur. Serce bije na Montmartrze! To tu właśnie w wąziutkich uliczkach kupcy rozłożyli swoje wspaniałości, tu w gromadkach z ożywieniem rozprawiają starszankowie o polityce i nie tylko, tu, przed kościołem siedzi w jedną ubogą suknię odziana dziewczyna z wzrokiem wzniesionym ku kościołowi i z nadzieją, że może ktoś da jej wsparcie (widziałem ją już kilka razy w metrze). Na Montmartrze zamiast wielkich salonów znajdują urocze małe domki o małych okienkach, pełne ubiegłowiecznych tajemnic.

Na wierzchołku tej góry – na skraju placu du Tertre – rozłożyli swe stragany malarze i rysownicy, artyści i wydrwigrosze, by... zarobić na życie (są wśród nich – a jakże – Polacy. I to liczni!). Tu na Montmartrze wznosi się pełna wdzięku stara świątynia św. Piotra – kilkuwiekowa siedziba paryskich dominikanów. Tu wreszcie jaśnieją blaskiem kopyły arabsko-bizantyjskiej Sacré-Coeur – świątyni będącej bez wątpienia wyzwaniem dla artystów-architektów, dzieło Paula Abadie. W ciągu blisko stu dziesięciu lat, jakie upłynęły od położenia fundamentów pod tę świątynię, w ciągu sześćdziesięciu pięciu lat, jakie upłynęły od jej

poświęcenia, wylano na nią niejedną beczkę czarnego atramentu. Bo też trudno się dziwić piszącym źle o Sacré-Coeur – burzy ona wszelkie wyobrażenia o dobrym smaku, odstaje we wszystkim od tradycji kultury francuskiej, prowokuje swymi kopułami. Ale przecież – istnieje! Dla tysięcy wiernych stanowi miejsce modlitwy, dla milionów turystów – zabytek Paryża. Czy cenny? Nie o to chodzi. Ale tak jak trudno byłoby dziś sobie wyobrazić Paryż bez wieży Eiffla (też niewiele ma chyba wspólnego ze sztuką!), tak nie sposób byłoby pozbawić Paryża tej świątyni. Toteż króluje ona nad Montmartre'em i Paryżem. Przed wiekiem była przede wszystkim zadośćuczynieniem za Komunę Paryską; dziś stanowi jedną z atrakcji miasta, jedną z tych atrakcji, które nadają temu miastu niepowtarzalną urodę.

9 grudnia 1984

Dzisiejszy dzień upłynął pod znakiem naszej narodowej historii. Wraz z Tadeuszem wybraliśmy się do leżącego ok. 40 km od Paryża miasteczka Montmorancy. Do miasteczka sławnego w naszych dziejach, tu bowiem znajduje się od blisko dwu wieków nekropolia polskiej emigracji.

Wyprawę tę (z Gare du Nord – podmiejskim pociągiem) połączyliśmy z wizytą w pobliskim Sercelles-St. Brice, u starych znajomych. Do Montmorancy pojechaliśmy we trzech: José, Tadeusz i ja. Na starym cmentarzu spędziliśmy blisko dwie godziny. Wizyta to niezapomniana. Wzruszenie zatyka raz po raz oddech. Jakże jednak może być inaczej? Oto stoimy przy grobie Mickiewiczów, w którym do 1890 roku spoczywał autor *Pana Tadeusza*, a w którym na wieczne czasy złożeni zostali członkowie jego rodziny: żona, dzieci, wnuki. Oto obok dwa stare, mocno zniszczone grobowce: generała Karola Kniaziewicza i Juliana Ursyna Niemcewicza. Parę kroków dalej – zbiorowy grób Towarzystwa Historyczno-Literackiego, a w nim prochy gen. Kazimierza Sosnkowskiego, Władysława Pobóg-Malinowskiego i dziesiątków innych wielkich Polaków. Każda alejka to wielkie karty naszej narodowej kultury. Tu oto symboliczny grobowiec wielkiego samotnika i prawodawcy poezji polskiej Cypriana Kamila Norwida, tam Zygmunta Kaczkowskiego, który próbował współzawodniczyć w powieści historycznej z Sienkiewiczem, tu wspólny grób Seweryny i Franciszka Duchinińskich, tak godnie zapisanych w dziejach polskiej kultury XIX wieku, tam mogiła

Cypriana Godebskiego i dziesiątki, setki innych. Nie sposób wymienić nawet części wielkich Polaków, którzy tu właśnie, w tym podparyskim miasteczku znaleźli miejsce wiecznego spoczynku. Zapewne marzyli o tym, że prochy swe złożą nad brzegami Wisły czy Wilii, w mazowieckim piasku czy na skalistym Podhalu. Los chciał inaczej. Spoczęli tu, na ziemi francuskiej, która dała im przytułek i kawałek chleba, niekiedy jakże gorzkiego. I tu pozostaną do dnia sądnego. Ale ten sam los zdarzył, że pamięć o nich nie zatarła się. Żyją oni nadal w naszej narodowej świadomości jako wierni synowie ojczyzny, współtwórcy jej wielkiej kultury, bojownicy o jej wolność. Toteż, kiedy opuszczaliśmy po dwóch godzinach tę niezwykłą pamiątkę narodową polską na ziemi francuskiej, pamiątkę, która godna jest bez wątpienia nazwy francuskiej Skalki, ze wzruszenia nie mogliśmy nawet rozmawiać. Wszak opuszczaliśmy kawałek – jakże drogiej sercu – naszej Polski!

11 grudnia 1984

Polska i sprawy polskie od dawna budzą zrozumiałe zainteresowanie we Francji. Nic dziwnego więc, że na uroczystość zorganizowaną przez działające przy INALCO towarzystwo „L'Amicale des Polonisants” (będące jedną z filii ruchliwego Association des Anciens Élèves des Langues Orientales) przybyło ponad trzydzieści osób. Punktem centralnym uroczystości był wykład prof. Janusza Pajewskiego z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu na temat *La mentalité politique des Polonais*. Wykład poprzedzony został sympatycznym wystąpieniem prof. Georges'a Castellana (z INALCO), autora między innymi książki o dziejach katolicyzmu w Polsce, znanego historyka francuskiego. Prof. Pajewski zajął się przede wszystkim genezą mentalności politycznej Polaków, wskazując na żywotność m.in. takich wątków jak tolerancja narodowościowa i religijna, katolicyzm zdecydowanej większości Polaków (stereotyp: Polak-katolik), demokracja. Bardzo często odwołując się do konkretnych wydarzeń historycznych wzbogacał on swe wywody także wątkami osobistymi. Naturalnie, nie wyczerpał zagadnienia, nie sposób bowiem tego uczynić w jednym wykładzie. Nie wspomniał więc o głęboko zakorzenionych w naszej mentalności (świadomości) narodowej mitach, jak choćby mesjanizm, ofiarnictwo, wieczny optymizm. Prof. Pajewski nie mówił o obsesyjnie

wręcz powracających w naszym myśleniu narodowym wątkach takich jak żądanie prawa do samostanowienia o swym losie, jak niezwykle indywidualizm w życiu społecznym i politycznym (wywodzący się chyba z tradycji demokracji szlacheckiej), jak silne u nas wątki antyrosyjskie, antyniemieckie czy wreszcie – antysemityczne. Zagadnienie mentalności politycznej posiada wielorakie konotacje: pozytywne i negatywne, mieści się w nim bowiem sprawa wyboru naszych bohaterów narodowych, ale także i zdrajców, polskie niebo i polskie piekło...

Żywa dyskusja po odczycie sprawiła, że wróciłem do domu bardzo zadowolony. Poznałem sporo interesujących ludzi z profesorami Castellanem i Pajewskim na czele (prof. Pajewski podziękował mi za *Polski listopad*), miałem wreszcie możliwość „prywatnie” porozmawiać ze swymi studentami. Jednym słowem sympatyczny dzień, a przede wszystkim polski wieczór w INALCO.

14 grudnia 1984

Już dawno Cilick zapowiedziała mi, że chciałaby wybrać się do teatru poezji. Ponieważ José prawie codziennie gra w brydża, ja dziś towarzyszyłem jej w tej wyprawie. Nie ukrywam, że wieczór ten nie przyniósł mi satysfakcji. Spektakl zatytułowany *Poésie une* w Théâtre des Mathurins to impreza tyleż dziwna co nietypowa. Pan Pierre Lafont, aktor a zarazem twórca spektaklu, wybrał kilkadziesiąt wierszy z literatury francuskiej i przez pełne sześćdziesiąt minut recytował je ze sceny, na której jedynym rekwizytem było krzesło! Przyznać trzeba, że wiele z tych wierszy to istotnie brylanty pierwszej wielkości poezji francuskiej, znalazło się tu przecież także kilka utworów chyba przypadkowych. Autor spektaklu w słowie do widzów skierowanym (na widowni znalazła się ich aż... cała dziewiątka!) dowodził, iż chodziło mu przede wszystkim o poezję odkrywającą los człowieka, wartość słowa. Nie wiem, czy rzeczywiście posłanie to znalazło odbicie w wykonaniu. Wiem natomiast, że mimo wielu wysiłków p. Lafonta, mimo jego fenomenalnej pamięci, ze sceny wiało nudą.

15 grudnia 1984

Zazwyczaj w sobotę ranniem odwiedzam Bibliotekę Polską. Dziś trzeba było zmienić plany. W Instytucie Studiów Sławistycznych (9, rue Michelet) od trzech dni odbywa się kolokwium poświęcone literaturze żydowskiej w języku rosyjskim, czeskim i polskim (*Littérature juive d'expression russe, tchèque et polonaise*). Dziś miał odczyt prof. Błoński – mówił o Schulzu. Trzeba było skorzystać z takiej okazji.

W Institut d'Études Slaves znalazło się kilkadziesiąt osób. Błoński podejmuje swój wykład po krótkim wprowadzeniu prof. Bonamoura (którego poznałem osobiście). Błoński najpierw wciągnął słuchaczy w krąg świata Schulza, zatrzymując się przy kluczowym dla zrozumienia istoty tego świata pojęciu Księgi, jej różnorodnych konotacji, by z kolei przejść do rozważań szerszych: o prawach rządzących tym światem. A światem tym rządzi bez wątpienia Księga – Biblia, ale obecna w tym świecie nie tyle poprzez swój tekst, ile poprzez autorskie komentarze do tego tekstu. Schulzowi świat cały jawi się jako jedna Księga, ale i Księga – jako świat. Wyobraźnia pisarza ukształtowana została przez Biblię. W świecie tym realność przedmiotów zależy wprawdzie od narratora, ale są one przecież dziełem Boga-Stwórcy! Jest to zatem świat, w którym wciąż na nowo odżywają biblijne teksty, a także archetypy. Schulz nie występuje tu jako wyznawca Biblii (był najprawdopodobniej niewierzącym), ale jako człowiek, którego sposób myślenia ukształtowała ta Księga. Był to pisarz polski, adresujący swe dzieła do polskiego czytelnika. Odkrywając jednak zamknięte w Biblii *universum*, odkrywał zarazem *universum* Żydów. *Universum* to jednak jest własnością wszystkich.

W drugiej części posiedzenia prof. Hana Jechová poprowadziła obrady okrągłego stołu (*la table ronde*) na temat współczesnej literatury żydowskiej w literaturze Europy Środkowej. W dyskusji zabrało głos pięć osób. Znamienne, że z wyjątkiem bodaj tylko Błońskiego wszyscy starali się zaanektować jak największą liczbę pisarzy do grona „żydowskich”. Bardzo charakterystycznie w tym wypadku zabrzmiał głos Węgierki, która przedstawiła się zarazem jako Francuzka i Żydówka, która stwierdziła, że to właśnie dopiero na emigracji we Francji (po 1956 r.) odkryła żydowskich pisarzy w literaturze węgierskiej (oni sami – jak stwierdziła – nie mieli prawdopodobnie świadomości przynależności do tej grupy!). Interesująco mówiła Jechová o definicji „literatury żydowskiej w języ-

kach narodowych”. Zatrzymując się nad sprawą języka, starała się dowodzić, że był to z zasady świadomy wybór danego pisarza. Błoński mówił z kolei o „szkole żydowskiej” w literaturze polskiej XX wieku, wskazując przy tym, iż można obserwować znamienne procesy: najpierw Żydzi wchodzili do kultury polskiej poprzez krytykę literacką, potem zaczęli wypowiadać się w poezji, dopiero na końcu – w prozie.

Na marginesie tej sesji nasuwa się kilka refleksji. Czy uzasadnione jest takie stawianie sprawy, jakie zaprezentowała większość uczestników obrad? Przynależność do danej literatury w pierwszym rzędzie wyznacza sam twórca. Jeśli świadomie wybiera on język polski jako język swej twórczości, czy mamy prawo anektować go do literatury żydowskiej? Tym bardziej jeśli on świadomie oświadcza, iż jest Polakiem, a nie polskim Żydem? W wyborze drogi twórczej sprawa języka jest niezwykle ważna. Skoro Singer mógł zdecydować się na twórczość w języku jidysz, czemu inni tego nie uczynili?

Przeraża zachłanność niektórych badaczy, którzy gotowi są sięgać do któregoś pokolenia wstecz, aby tylko w biografii danego autora odnaleźć żydowskie korzenie. Praktyka ta przypomina tragiczne dzieje II wojny światowej i praktyki niemieckie. Czy jest uzasadniona i potrzebna?

16 grudnia 1984

Dziś odleciał do kraju Tadeusz. W ostatniej rozmowie przyrzekł mi, że nawiąże kontakt z małżonką i córką. Czy dotrzyma słowa?

8 lutego 1985

Mija siedem tygodni od czasu przerwania spisywania tych notatek. Siedem tygodni – które wydają się przecież całym wiekiem. Dwa ostatnie i pierwszy tydzień tego roku upłynęły mi wśród rodziny, w Krakowie. Wspaniałe święta Bożego Narodzenia, w gronie najbliższych. Jakże rzadko mamy wolną chwilę w życiu, aby móc w spokoju porozmawiać o sprawach nas wszystkich, a przede wszystkim naszych najbliższych. Święta winny sprzyjać temu, choć najczęściej przed tymi dniami jesteśmy zagonieni przygotowaniami, potem zaś zmęczeni.

W końcu nie zawsze udaje się nam przeżyć godnie Świąta. Kiedy dziś, po miesiącu od wyjazdu z domu, oglądam się wstecz, wydaje mi się, że były to święta właśnie udane, spędzone na rozmowach z żoną i dziećmi, na chwilach skupienia wokół niekiedy spraw codziennych, a jakże ważnych. Wdzięczny jestem ogromnie losowi, że pozwolił mi właśnie tak spędzić te dni z najbliższymi.

Do Paryża wróciłem 7 stycznia. Natychmiast trzeba było wejść w bieg wydarzeń, zajęć, zebrań, spotkań. Nie było właściwie ani chwili przestoju, odprężenia. Przeciwnie, czas jakby znacznie przyspieszył swój bieg, jakby odmienił swą odwieczną naturę. Rzadko kiedy było mi dane być tak aktywnym, jak właśnie w ciągu tych czterech tygodni. Właściwie brakowało czasu na sen. Jakiś wewnętrzny przymus, jakaś bezustanna pogoń, wyścig z czasem? Oto bowiem cotygodniowe zajęcia, które wszak trzeba przygotować. Musiałem więc wreszcie ustalić nie tylko zakres wymagań, ale przede wszystkim profil wszystkich zajęć, przygotować, a właściwie wymyślić i napisać kilkadziesiąt tekstów dla różnych grup. Obok tego dwa wykłady, które biegają swym nienaruszonym torem. Ale dydaktyka to tylko część zajęć. Dołączyć do tego wypadła udział w zebraniach naukowych i imprezach paranauczonych. Trudno byłoby rozpisywać się o wszystkich, wystarczy może wspomnieć tylko o niektórych. Byłem więc u oo. pallotynów na bardzo ciekawym odczycie Błońskiego o diable we współczesnej literaturze polskiej (ujęcie problemu wprawdzie szkieletowe, ale bardzo interesujące. Nb. okazuje się, że najciekawsze portrety diabła pochodzą od niedowiarków bądź ateistów – Gombrowicza, Kołakowskiego, Miłosza czy wreszcie Lema!). Byłem tam następnie na spotkaniu z Krzysztofem Pomianem, który właśnie wydał u Gallimarda książkę o filozoficznych aspektach czasu historycznego. Pomian mówił o tym, do czego służy filozofia, mówił pięknie i fachowo (może zbyt fachowo, jak na publiczność zebraną w sali będącej zarazem kaplicą), pokazywał, w czym tkwi piękno i wartość filozoficznego myślenia, jak kształtuje się proces dochodzenia do prawdy w filozofii. Zupełnie inny typ wykładu zaprezentowała Helena Włodarczyk, która w Instytucie Katolickim mówiła o *Kompleksie polskim* Konwického. Wychowana w znakomitej szkole kartezjańskiego myślenia Włodarczykowa wyszła od tekstu powieści Konwického, pokazując znakomicie zarysowaną przez pisarza syntezę polskości, obraz społeczeństwa z lat siedemdziesiątych XX wieku i jego gorzki osąd. Brakło może tylko w tym wykładzie szerszej perspekty-

wy historycznoliterackiej dla powieści Konwickiego, a taka przecież wyraźnie się narzuca, i to pierwszego kalibru: od Berenta (*Ozimina*), Struga (*Ojcowie i dzieci*), poprzez Wyspiańskiego – aż do *Dziadów cz. III*. Na okres ten przypadła także interesująca impreza w Instytucie Polskim: wernisaż fotogramów Witkacego z odczytem Urszuli Czar-toryskiej-Stanisławskiej (z Łodzi) o okrucieństwie i bólu w twórczości autora *Kurki wodnej*. Referat był niewątpliwie ciekawy, dotyczył przede wszystkim malarstwa Witkacego. Niestety, wygłoszony został słabo, co znacznie wpłynęło na jego odbiór i poziom wieczoru.

Skoro robię tu krótkie *resumé* ubiegłych czterech tygodni, muszę wspomnieć o wspaniałej wyprawie do Chartres, do pp. Delaperrière. Znalazłem tam znakomitą, rodzinną atmosferę, ogromnie wiele życzliwości i gościnności. Dwa dni, które tam spędziłem, przebiegły jak chwila jasna, tym bliższa sercu, że osłoneczniona widokiem wspaniałej katedry. Kiedy wędrowałem po olbrzymich nawach tego kościoła, który swym ogromem wręcz przygniata miasto, kiedy zwiedzałem przepastne jego podziemia – krypty, pamiętające ósmy wiek, a nawet czasy rzymskie, kiedy wreszcie przyglądałem się wspaniałej architekturze wykuszy, ustępów i tysięcy innych szczegółów, niezwyklej urody witraży, wciąż powracała myśl: o ludziach, którzy budowali tę wspaniałą świątynię przed wiekami, ale także i o tych, którzy tu przez wieki całe przychodzili. W średniowieczu, a także i dzisiaj jeszcze (choć dziś coraz rzadziej!) ciągnęły tu tłumy pielgrzymów, aby pokłonić się Matce Bożej – przybranej w suknie i stroje z okolic. Od blisko siedemdziesięciu lat podążają tu, do tej świątyni, pielgrzymki studentów paryskich (zainicjowane przez poetę, Charles'a Péguy). Czego szukali i czego dziś jeszcze szukają w Chartres owi pielgrzymi? Pocieszenia? Na pewno tak, ale chyba nie tylko. Pomocy – też chyba, ale nie wyłącznie. Spieszyli tu i spieszą, aby odnaleźć siebie, swoją wiarę, swoje człowieczeństwo? Któż zbada ludzkie serca i umysły, kto pozna ich decyzje?!

Nie sposób nie wspomnieć w tym krótkim streszczeniu mojego *curriculum vitae* o innych paryskich przeżyciach. A tych nie brakowało. Najpierw była więc przez blisko dwa tygodnie tzw. syberyjska zima (określenie prasowe), tzn. temperatura w mieście spadła kilka razy do około –15 stopni. Dla nas, ludzi Północy, zima taka to fraszka. Dla tu-byłców – to tragedia. Plon dwunastu dni mrozów okazał się tragiczny: jak podała prasa, ponad 170 osób straciło życie! Francja nie jest przygotowana do takiej zimy. Ludzie nie mają ciepłych ubrań, tysiące żebra-

ków i innych biedaków gnieździ się w norach, zapuszczonych komórkach albo po prostu na ulicy. Także i w domach instalacje ogrzewnicze nie zostały obliczone na takie „ekscesy” aury. Marzli więc biedacy, ale marzli i bogaci. Ksiądz Saint-Vincent-de-Pierre, sławny ze swoich akcji niesienia pomocy biednym paryżanom od lat pięćdziesiątych, raz jeszcze wkroczył do akcji i przedłużył znacznie swoją akcję *Boże Narodzenie księdza Piotra*, niosąc pomoc najbardziej potrzebującym. Do akcji tej włączyły się zresztą tysiące ludzi, także władze miasta (otwarto kuchnie wydające ciepłe posiłki najbiedniejszym, udostępniono bezdomnym kilka stacji metra na nocny spoczynek etc.). Ale Paryż to nie tylko zima. To także muzea z Luwrem na czele (a w nim – z przuroczą *La belle ferronnière* Leonarda da Vinci i pełnymi tajemniczego uroku portretami Tycjana). To także odkrywane raz po raz maleńkie muzea (jak choćby „odkryte” ostatnio przeze mnie muzeum-pracownia Eugène’a Delacroix). To także osławiona rue Saint-Denis z wystającymi w każdym załomie muru prostytutkami. To wreszcie ulubiony mój zakątek na wyspie św. Ludwika: Biblioteka Polska. Bywałem tu przeciętnie trzy razy w tygodniu, każdorazowo po około trzy godziny (krótko bowiem otwarta jest czytelnia). A przecież ileż radości miałem i mam w czasie tych niewielu godzin! Właśnie na dobre zabrałem się do lektury archiwum Henryka Bukowskiego. Po sporej porcji listów Karola Lewakowskiego i Zygmunta Miłkowskiego-Jeża przyszedł czas na kilkaset listów Józefa Gałęzowskiego. Morze informacji o sprawach Muzeum w Rapperswilu, o ludziach z nim związanych (przede wszystkim o młodym Zeromskim). Dziś otrzymałem wstępną zgodę kierownika rękopisów na dostęp do zdeponowanych ale nieudostępnianych archiwów Gałęzowskiego i Gierszyńskiego... Ileż tam niespodzianek, ile tam opisanych wysiłków dla sprawy polskiej. Ile emocji, sporów, dyskusji, akcji... Czy rzeczywiście uda mi się napisać rzecz o Rapperswilu, a właściwie o ludziach z nim związanych – jak to tydzień temu zanotowałem sobie około wpół do trzeciej nad ranem (zbudzony ze snu przez odgłosy „nocy latynoamerykańskiej” trwającej dwa piętra niżej)?

Dla możliwie całościowego ujęcia tego „sprawozdania” powinienem chyba także wspomnieć i o tym, że w okresie tych czterech tygodni napisałem „zarys scenariusza” I serii serialu telewizyjnego pt. *Rodowody* (siedem odcinków, pięćdziesiąt sześć stron maszynopisu). Nadto napisałem pełny scenariusz odcinka I pt. *Pod Naczelnikiem* (44 strony!). Dziś właśnie materiały te powędrowały do Warszawy. Trudno określić,

jak zostaną przyjęte¹. No i na koniec dwie informacje, jakie otrzymałem od najbliższych: przed tygodniem ukazała się w księgarniach polskich moja *Panorama Raclawicka* (tylko dlaczego KAW nie przekazał do tej pory egzemplarzy autorskich Maji?!), a *Złota legenda chłopów polskich* została nagrodzona przez „Życie Literackie”. Cieszą mnie te wiadomości. Ale prawdę mówiąc najwięcej mnie cieszy to, że bliscy moi są zdrowi, że co tydzień choć przez parę minut mogę usłyszeć ich głosy, że przysyłają mi od czasu do czasu listy...

9 lutego 1985

Dziś sobota, dzień, który bardzo lubię. Rankiem – jak zwykle w soboty – siedziałem w Bibliotece Polskiej. Czytam listy Józefa Gałęzowskiego do Henryka Bukowskiego. Listów jest kilkaset, wszystkie dotyczą spraw Muzeum w Rapperswilu. Ileż wysiłków, ile emocji, ile poświęceń! W końcu ów Gałęzowski był urzędnikiem w Cr dit Foncier, miał swoje zawodowe obowiązki. A przecież zawsze znajdował czas dla spraw Muzeum! A obok niego dziesiątki i dziesiątki innych Polaków! To prawda, że niekiedy wygląda na to, iż owo dyrektorstwo było dla niego swoistą ucieczką, ażylem przed żywotem emigranta skazanego na uwięź we Francji. Ale bez wątpienia było także i funkcją, która dodawała mu splendoru. Z drugiej strony trzeba podziwiać go – nawet w wczas, gdy jest niesprawiedliwy (jak na przyk ad wobec m odego Żeromskiego). Za wytrwa ość. On, pułkownik z 1863 roku, obecnie urzędnik bankowy, pokazał, że mo na słu yć sprawie polskiej nawet w sytuacji, zdawałoby się, beznadziejnej. I tylko, kiedy dzi s czytam te zetlałe dziesiątki listów, te świadectwa zabiegów, starań wokół sprawy Muzeum w Rapperswilu, nasuwa się jakże przykra konstatacja: wszystko to, dorobek kolejnych pokoleń, dokumenty pierwszej rangi, wszystko to po latach padło ofiarą płomieni wznieconych przez niemieckich faszystów! To boli. Tyle zabiegów, tyle ludzkiego wysiłku, tyle wreszcie nadziei, że to wszystko będzie kiedyś słu yło narodowi – wolnemu,

¹ W czasie pobytu w kraju w okresie Świąt Bo ego Narodzenia spotkałem się w Warszawie z Wiesławem Myśliwskim i Marianem Pilotem. Postanowiliśmy założyć „spółkę” autorską, która przygotuje scenariusz serialu telewizyjnego pt. *Rodowody*. Niestety, nasze plany zawiodły. Scenariusz ostatecznie nie powstał.

niepodległemu, w wolnej, niepodległej Polsce. Wszystko to wskutek jakiegoś przekleństwa dziejowego pochłonęły w roku 1944 płomienie. Przewiezione do kraju w roku 1927 zbiory rapperswilskie, złożone w Wojskowej Bibliotece Centralnej, niezbadane do końca, niewykorzystane ani w części, przepadły na zawsze. To boli...

10 lutego 1985

Wczoraj wieczorem spędziłem kilka godzin na przyjęciu u Ewy i Davida. Urządzili przyjęcie w związku z zakończeniem urzędowania własnego mieszkania. Zebrało się kilkadziesiąt osób. Byli to ludzie literatury, teatru, malarze... Dla mnie największą przyjemnością było spotkanie starszej pani, która – urodzona w Dortmundzie, nigdy nie zwiedziwszy Polski – mówi piękną polszczyzną. I czuje się Polką. To wzruszające. Widziałem w jej oczach promień radości, że może wreszcie bez skrępowań, bez ukrywania się, porozmawiać po polsku. Bo przecież rozmawiała ze mną – człowiekiem „stamtąd”! A przy tym było jej przyjemnie, że mogliśmy się znaleźć w tym towarzystwie, że ani ja, ani ona nie odczuwaliśmy wobec tego towarzystwa żadnego kompleksu ludzi gorszego gatunku. To ciekawe, jak często zdarza mi się teraz spotykać Polaków z drugiego-trzeciego pokolenia emigracyjnego, którzy nie czują się przedstawicielami „trzeciego świata”, którzy z dumą przyznają się do swego pochodzenia. W pierwszym rządzie wpływ to wyboru kardynała Wojtyły na papieża, dalej – przebudzenia się Polaków na początku lat osiemdziesiątych. Co znamienne: we wtorek bodaj, w czasie wieczoru literackiego u p. Helft, spotkałem pana, który dość dziwnie wymówił swoje nazwisko przy poznanii się. Po nawiązaniu z nim rozmowy okazało się, że nazywa się Mazurowski, że jest Polakiem – ale, jak natychmiast dodał, „z Nowego Jorku”. Oczywiście, nie zna języka, nie bardzo go interesuje kraj („choć tam byłem, bo otrzymałem nagrodę na Biennale grafiki w Krakowie”). On, Amerykanin, raczej wyraźnie czuł się zażenowany swoją polsnością. Starsza pani – spotkana zresztą w tym samym towarzystwie w kilka dni później – była wyraźnie dumna ze swego pochodzenia.

Dziś powinienem opisać właściwie dwie sprawy. Najpierw wizytę w kościele przy rue St. Honoré. Mszę św. celebrował ks. Rektor – za duszę kardynała Józefa Słypija, patriarchy grekokatolickiego kościoła

ukraińskiego, zmarłego w grudniu ubiegłego roku. W kościele tłumy polskich wiernych. Był także chór ukraiński. Kazanie piękne wygłosił ks. Stopa – o kościele milczenia, o tragedii XX wieku, o cierpieniu, o obowiązku... Przemawiający na zakończenie uroczystości kanclerz kurii ukraińskiej wniósł znacznie więcej akcentów politycznych. Ale to przecież też człowiek, trudno mu się więc dziwić. Jakże często coraz trudniej ustalić dziś granicę między religią a polityką. Jakże często wmawia się ludziom, że przyznanie się do wiary jest oznaką wyboru politycznego. Ale z drugiej strony jakże często określony wybór polityczny zostaje przykryty zewnętrzną formą przynależności do określonego wyznania. Nie darmo Jan Paweł II tak gorąco nawołuje do rezygnacji księży z udziału w życiu politycznym. To sprawa niebezpieczna. Dla obu stron.

Po mszy św. – wizyta w Oranżerii. Spotkanie z obrazami Renoira, Matisse'a, Cézanne'a, Picassa, Utrilla, Moneta i innych. Przepiękne spotkanie. Bo tu człowiek może swobodnie wybrać sobie to, co mu odpowiada, co go interesuje. Osobiście wciąż na przykład nie mogę się przekonać do Picassa. Jego obrazy – w galerii tej pochodzące z lat dwudziestych – rażą jakąś szorstkością, świadomą prowokacją. O wiele większą radość sprawiło mi spotkanie z obrazami Renoira. Przede wszystkim zachwyciły mnie dwa jego płótna: *Portrait de deux filles* (1890–92) i *Blonde à la rose* (bodaj z lat osiemdziesiątych XIX w.). Jakże wiele ciepła u tego malarza, radości z malowania. Odrębną grupę stanowią w Oranżerii płótna Cézanne'a, tego rodowitego Prowansalczyka z Aix-en-Provence, człowieka, który kolory dla swej palety odnalazł u podnóża Sainte-Victoire. Cézanne zawsze był mi bliskim, jakby rodakiem, toteż i dzisiejsze z nim spotkanie miało w sobie coś z intymności spotkania starych przyjaciół. Szczególnie gdy raz jeszcze oglądałem jego obrazy z pejzażami Aix, z wieżą katedry St. Sauveur... Wspaniały jest obraz C. Moneta *Argenteuil* (1875), niepowtarzalne studium wody i kołyszących się na niej barek. Niestety, sale z jego *Nymphéas* dziś były zamknięte, trzeba tu wrócić raz jeszcze. A zrobię to z tym większą przyjemnością, że odnajdę tu także i najmilszego mi Utrilla – z uroczymi pejzażami z Montmartre'u. Dwa płótna przedstawiają wprawdzie katedry: jedno Notre-Dame, drugie katedrę w Orléans, zdecydowanie jednak dominuje w zgromadzonej w tej galerii grupie płócien Utrilla Montmartre z przepięknym *Maison Bernot* z 1924 r. Dopełnia go udanie wcześniejszy znacznie – bo z 1914 r. – obraz *Église*

de St. Pierre. Wróć tu zatem na pewno, bo znaleźć tu można spokój, radość kolorów i nade wszystko chyba – radość tworzenia. To prawda, że obrazy te powstawały może w pocie czoła, w cierpieniu, po wielokrotnych przeróbkach, wahaniach, zwątpieniach. Ale to, co z nich bije, to jakaś wewnętrzna, tajemnicza siła kreacji, tworzenia wbrew wszystkiemu i wszystkim, tworzenia dla siebie (a zatem i dla innych). I po ten zastrzyk optymizmu warto niejedną raz odwiedzić Oranżerię.

17–24 lutego 1985

Osiem dni, na które czekałem dwanaście długich lat! Osiem dni w Aix-en-Provence! Kiedy w 1973 r. opuszczałem starą stolicę prowansalską, zapowiadałem rychły do niej powrót. Bo wszak spędziłem tam trzy lata swego życia, zostawiałem część siebie, wspomnienia, przyjaciół. Rychło zapowiedzi trzeba było jednak odwołać, plany zmienić. Miesiąc za miesiącem, rok za rokiem zaczęły biec, perspektywa odwiezienia „mojego” Aix-en-Provence zaczęła się oddalać. Wreszcie zamieniła się w jakąś maleńką stróżkę cichej nadziei, jakże jednak wątłą! Żywiącą się wspomnieniami i... rozmowami z przyjacielem, Adamem, który w kilka lat po mnie zamieszkał na trzy lata pod górą Sainte-Victoire. I oto po dwunastu latach jestem znowu we Francji. Jakże więc nie odwiedzić „miejsc ukochanych” młodości?!

Gdy tylko ogłoszono nam tygodniową przerwę semestralną, zdecydowałem się na wyjazd na południe, do „Aten Południa”, do Aix. Na dworcu marsylskim czekali na mnie przyjaciele, których dwanaście lat w niczym nie zmieniło. To oni właśnie przed dwunastu laty odwozili mnie wraz z moją rodziną na dworzec marsylski, oni czekali teraz na mnie na peronie! Powitanie, radość, tysiące słów... i podróż do Aix. Przyjaciele w ciągu tych dwunastu lat dorobili się. Mieszkają teraz w pięknej starej prowansalskiej willi. Nieledwie w centrum. A ileż tu spokoju, atmosfera prowansalskiej wsi! Na podwórku wygrzewający się w słońcu olbrzymi pies Norton, w ogrodzie pierwsze wiosenne fiołki...

Kiedy nazajutrz rano udałem się na zwiedzanie miasta, opamiętuje mnie w pierwszej chwili panika. Wszak kiedyś widziałem te miejsca, chodziłem tu, a przecież – jakże one są obce obecnie, jakże dalekie... Spotkanie z miastem po tak długim czasie ma w sobie coś z niespodzianki, ale i z koszmaru. Jakaś chmura, jakaś powłoka wciąż

dzieli mnie od tego miasta, od jego ulic, placów, zaułków. Najpierw poszedłem na bd. Paul d'Ollone, do domku, gdzie niegdyś mieszkaliśmy. W „naszej” willi mieszka dziś ktoś inny. Przebudował on stary dom, stworzył z niej nieledwie cacko, zabawkę. To tu mieszkaliśmy przez dwa lata?! Nie do wiary. Powoli jednak chmura zaczyna ustępować. Oto bowiem pojawiają się w tym obcym-nieobcym mieście ludzie. To za ich sprawą następuje przerwanie tej dziwnej opaski, która w ciągu dwunastu lat nałożyła się na moją wizję miasta. Pod starymi drzewami zobaczyłem bulistów. Jak niegdyś, jak zawsze, rzucają swymi bulami do korka, mierzą odległości, kłócą się, dopingują graczy... Tak, to na pewno Aix! Ileż to razy asystowałem przed laty tym rozgrywkom, ile razy byłem świadkiem najdziwniejszych scen... Tak, to Aix! Ale nieco inne. Jakby odmłodziło, jakby nabrało żywszych kolorów. Znikły z jego centrum samochody, wszędzie ciche, spokojne uliczki dla pieszych, wszędzie sklepiki, księgarnie, kafejki... Czas nie tyle zatrzymał się w tym mieście, ile raczej cofnął się. Miasto straciło patynę starości, jaką jeszcze niegdyś posiadało, stało się organizmem bardziej młodzieńczym, żywym. Mniej także na jego ulicach starszych mieszkańców, tych osławionych burżujów prowansalskich. Zdecydowanie dominują młodzi. Przede wszystkim studenci. Ale w końcu nie ma się co dziwić. W ciągu tych dwunastu lat – jak się niedługo miałem dowiedzieć od przyjaciela, prof. Jean-Yves Choleya, liczba studentów w Aix podwoiła się. Wszędzie ich widać. Radosnych, roześmianych, dyskutujących... Ale nie o polityce, jak to było jeszcze przed dwunastu laty. Raczej o życiu, o problemach studenckich. Może o miłości?

Spotkanie z Aix to przede wszystkim liczne spotkania z ludźmi. A tych w ciągu owych ośmiu dni nie brakowało. Wprawdzie tu i ówdzie pojawiły się bolesne luki. Oto w Bibliotece Méjanes, w której spędziłem wiele wspaniałych dni, dowiaduję się, że przed kilku laty zmarł mój jakże serdeczny przyjaciel-staruszek, Jean Dominique Guelfi, kustosz biblioteczny. Na emeryturze jest już Mlle Kerverseau, która niegdyś pomagała mi w poszukiwaniu materiałów związanych z Gaszyńskim. Ale przecież inni nadal tu pracują, mieszkają, żyją... Oto na Uniwersytecie, w Instytucie, gdzie pracowałem przez siedem semestrów, spotykam – wciąż przy tym samym biurku – panią Halinę, która wciąż w rękę swym trzyma administrację ILGEOS-u. Wprawdzie w ciągu tych lat zmieniła nazwisko, urodziła dwójkę nowych dzieci, ale biurka nie zmieniła. Oto prof. Martini, który zaprasza mnie na kawę do siebie.

Wprawdzie mocno posiwiiał, ale duch wciąż ten sam, żywy, młodzieńczy, pełen energii. Przed trzema laty był w Krakowie, ale, niestety, nie spotkał się. Teraz mnie wita z wyrzutem: przed dwoma tygodniami byłem wraz z żoną w Krakowie, szukaliśmy pana na uniwersytecie, a pan tu? Jest on tu głównym koordynatorem przewozów paczek do Polski. Profesor uniwersytetu, któremu nawet do głowy nie przyjdzie, żeby zrezygnować z tego przedsięwzięcia. *Bo to, wie pan, to nie tylko pomoc dla was, to także nauka dla nas!* – powiada. Oto mój były szef, prof. Garde. Z prawdziwą radością woła do słuchawki telefonicznej: musimy jutro zjeść razem obiad! I rzeczywiście. Zjawia się punktualnie – jak zawsze! – na spotkanie. Przyprawdza na spotkanie także dobrą znajomą, prof. Guiraud. Płyną nam minuty i godziny na rozmowie: o wszystkim. O pracy, o ludziach, o sprawach, o problemach... Jak w gronie przyjaciół. Oto wreszcie Michel i Eveline – jak niegdyś – samotni, bez dzieci, ale pełni serca i radości życia. Oto Martine i Bruno Gastoud – ci sami, których „przeprowadzałem” niegdyś do nowego domu w St. Cântat. Może trochę widać w ich oczach zmęczenie, może owe lata w niejednym dokuczyły im, ale przecież w rozmowach, dyskusjach są wciąż pełni energii i – typowo prowansalskiej – rubaszości. Synowie im podrosli, dom otrzymał dodatkowe piętro, drzewa – które niegdyś sadziłem – sięgają siedmiu – dziesięciu metrów wysokości... Ale kiedy przy kominku snujemy opowieści o naszym życiu, wygląda na to, jakbyśmy się rozstali dopiero wczoraj. Nie inaczej wyglądają spotkania z Jean-Yves'em! Wciąż samotnym, wciąż opiekującym się biedną na pół sparaliżowaną Patrycją (ta powie mi w pewnej chwili z dumą: *w czasie wydarzeń u was, stanu wojennego, udało mi się załatwić cztery wózki inwalidzkie dla osób w Polsce!*), wciąż pracującym na Wydziale Prawa... Może tylko mniej radości w jego spojrzeniu. Ale także chyba i więcej rozważli w sądach. A cóż powiedzieć o Annie i o Francisie Teste'ach? Byłoby nieprawdą, gdybym oświadczył, że się nie zmienili. Bo to prawda, że wciąż serce u nich otwarte dla wszystkich przybyszów z Polski. To prawda, że Anna kocha rozmowy (szczególnie około północnej godziny – jak niegdyś!), że Francis kocha swoją pracę zawodową (nawet w niedziele – jak niegdyś!). Ale dzieci im podrosły. Pojawiły się w ich osobowościach także rysy nowe: przywiązanie do dzieci, matczyzna miłość, ojcowskie oddanie. To wiele. To coś budującego...

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał tu o wizycie, która przecież może najsilniej wryła się w moją pamięć. To wizyta na

cmentarzu św. Piotra, u grobu Konstantego Gaszyńskiego. Przed laty mogiła tego romantycznego poety, przyjaciela Zygmunta Kraszińskiego, powstańca listopadowego i tułacza była naszą rodzinną przystanią niedzielną. Ileż razy wraz z żoną i córką przychodziliśmy tu w niedzielne popołudnie, aby odwiedzić naszego bliskiego przyjaciela... Teraz już pierwszego dnia pobytu odnajduję drogę na cmentarz św. Piotra. Kieruję się ku mogile Gaszyńskiego. I... serce raduje się. Oto przed dwunastu laty, tuż przed wyjazdem z Aix, uradziliśmy z żoną, że posadzimy na mogile Gaszyńskiego „nasze” irysy, kwiaty niewymagające wielkiej pielęgnacji. Zasadziliśmy kilka krzaczków. Dziś wita mnie piękna, zielona murawa irysów. A jednak został po nas tu jakiś ślad! Może te irysy, oceniając mogiłę wygnańca-poety, przypominają mu rodzinne strony?

Kiedy w niedzielne popołudnie na dworcu marsylskim żegnałem się z przyjaciółmi, kiedy usiadłem w supernowoczesnym pociągu TGV, kiedy za oknami zaczęły przesuwać się widoki błyszczącego w słońcu Morza Śródziemnego i białe skały Prowansji, raz jeszcze powróciłem do wspomnień sprzed lat kilkunastu. Jakże piękna to kraina, jakże bliska sercu, radosna... Ale czy chciałbym tu znowu zamieszkać na lat kilka, pracować tu? Chyba nie. To piękna przeszłość, to radość wspomnienia. Ale życie biegnie naprzód, podsuwa coraz nowe obrazy, wymaga nowych decyzji. Dlatego z utęsknieniem zacząłem oczekiwać na chwilę, gdy zza okien pociągu wynurzą się drapacze chmur „mojego” Paryża. Bo teraz jestem już „paryżaninem”. Tu mieszkam, tu jest kolejna przystań mojego życia. Chwilowa, to prawda, ale na dziś – to jest „moje” miasto.

27 lutego 1985

Wczoraj po zajęciach podeszła do mnie jedna ze studentek i nieśmiało zapytała: *Czy zechciałby pan odwiedzić nas? Właśnie przyjechali rodzice, chcieliby pana poznać.* Nie miałem nic przeciwko temu. W końcu jestem tu sam; zamiast siedzieć w akademiku, może poznam kogoś interesującego? Skoro też tylko skończyło się zebranie pracowników naszej sekcji polonistycznej, poszedłem w kierunku ulicy du Bac. Zadzwońiłem do drzwi i po chwili... znalazłem się wśród ludzi bliskich, serdecznych, sympatycznych. Państwo Balińscy, mimo polskiego na-

zwiska, niewiele mają wspólnego z Polską. No, może nie tak: w końcu jedna z ich córek pojechała do Krakowa na studia, druga zaś uczeźcza na studia polonistyczne w Paryżu. Ale przecież – jak się dowiaduję – prof. Baliński urodził się w Szwajcarii, wychował w Stanach Zjednoczonych, od sześciu zaś lat – mieszka w Paryżu. Pani Balińska jest rodowitą Amerykanką z Tennessee. A zatem ludzie z drugiego świata. Nieoczekiwanie przecież ten oto profesor matematyki, który nie zna języka polskiego, który co miesiąc spędza tydzień w Stanach Zjednoczonych – jako wykładowca na jednym z tamtejszych uniwersytetów, okazuje się człowiekiem nie tylko interesującym, ale bardzo serdecznym. Zresztą i żona jego – mająca wciąż jeszcze kłopoty z językiem francuskim – nie ustępuje w serdeczności. Rozmowa przy kolacji początkowo toczyła się bardzo typowo: o pracy, o jej blaskach i cieniach, o rodzinie... Rychło nabrała jednak rumieńców. Oto pan domu prowadzi mnie do sąsiedniego gabinetu. Tu ścianę całą zajmują wspaniałe portrety sławnych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Ale nie tylko. Obok wisi portret Tocqueville'a, owego sławnego historyka z XIX wieku, człowieka, który przeżywa wciąż lata sławy. Po chwili pan domu wylawia jednak z tej galerii portrety jakby swojskie, bliższe. I rzeczywiście. Oto dwaj bracia Śniadeccy, tu zaś... Michał Baliński. Z niemalym zdumieniem dowiaduję się, że to po prostu... przodkowie gospodarza. Ze zdumieniem i lekkim niedowierzaniem spoglądam na pana domu, to znów na portrety: czy rzeczywiście? Widzę, że gospodarz zdaje sobie sprawę z mojego zaskoczenia. Ale nie nalega. Siadamy w wygodnych fotelach. I rozpoczyna się zadziwiająca baśń, o której może zamarzyć każdy historyk, badacz dziejów naszych. Po chwili panna Marta przynosi pamiątki... po stryju, niedawno zmarłym poecie, Stanisławie Balińskim. Są listy, pisma... Przynosi także relikwię domową: maleńką statuetkę Matki Bożej z... Oszmiany! Przechowywana jest w rodzinie od 1830 roku, przez cały czas – z dala od rodzinnej Litwy, gdzieś tu, w Paryżu, Londynie, to znowu w Nowym Jorku. A oto miniatura Edwarda Odyńca z żoną. Największą niespodziankę trzymają jednak gospodarze na koniec. Wreszcie pokazują: wspaniałe wyglądającą kopię (oryginał znajduje się w Muzeum m. Warszawy) *Złotej księgi* pradziada pana domu, Aleksandra Reychmana, redaktora wychodzącego pod koniec XIX wieku w Warszawie „Echa Muzycznego”, wieloletniego dyrektora Filharmonii Narodowej w Warszawie. Co za spotkanie! Jakie nazwiska, czyje pismo!! Dziesiątki, setki nazwisk.

A za każdym kryje się odrębna historia, jakaś tajemnica życia. I wiersze (ileż z nich nigdy nie było drukowanych!?): Kasprowicza i Tetmajera, Rydla i Bałuckiego, Deotymy i Jankowskiego, Faleńskiego i Langeo... *Złote myśli* Przybyszewskiego i Paderewskiego. Wpisy Catullesa Mendesa i Władysława Mierzińskiego, Marii Konopnickiej i Henryka Sienkiewicza... Któż byłby w stanie wymienić choćby w części gości salonu pana Aleksandra Reychmana! Przerzucając karty książki, raz po raz przywołuję wspomnienia swoich lektur, to znowu anegdota. Gospodarze domu dorzucają od siebie raz po raz nowe szczegóły. A to o Reychmanie, a to o Ludwiku Brunerze (Ludwiku Stenie, znanym krytyku literackim!) – również członku rodziny. Płyną godziny, wreszcie przychodzi czas pożegnania. Przerwany został łańcuch wspomnień i niezwykle spotkań. Padają zwyczajowe słowa – do rychłego zobaczenia, do kolejnego spotkania. Nie wiem, czy nastąpią. Nawet jednak, gdyby nie miały nastąpić, to jedno nasze spotkanie, ten jeden wieczór pozostanie mi na długo w pamięci. Wieczór w Paryżu, przy ulicy du Bac, u rodziny amerykańskiej, wieczór polski, jakże polski!

2 marca 1985

Nieoczekiwanie otrzymuję dziś kolejne zaproszenie. Tym razem od dobrej Znajomej z dawnych lat. Mieszka w Paryżu od lat pięciu. Przyjechała tu wraz z sześciolatnim synkiem. W kraju został mąż i ojciec dziecka. Znajoma ma nowego partnera życiowego, zresztą bardzo sympatycznego Francuza. Ułożyła sobie życie od nowa. W końcu sytuacja taka nie zaskakuje. Ileż to podobnych związków, ile takich samych historii, na poły banalnych, ale jakże ludzkich. W tym jednak wypadku sprawa nie wygląda ani na banalną, ani na zwykłą. Moja Znajoma wywodzi się ze znakomitej rodziny profesorskiej. Wychowana została w atmosferze dobrobytu, ciepła, spokoju. Nawet gdy wyszła za mąż, nigdy nie pomyślała o tym, że trzeba prowadzić dom, przygotować obiad, nakarmić dziecko. Tymi sprawami zajmowała się „ciocia”, a w najgorszym wypadku „pani Zosia” czy „pani Marysia”. I oto nagle pewnego dnia moja Znajoma buntuje się. Buntuje się przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Wychowana w bardzo pobożnej rodzinie, porzuca wiarę. Związana małżeńskimi ślubami, zrywa związek. W towarzystwie trochę przypadkowo poznanego Francuza wyjeżdża z kraju zabierając

ze sobą dziecko. Zaczyna uczyć się życia od początku. I miłości od początku. Ciężka to nauka, trudna, niezwykajna. Znać też dzisiaj na twarzy Znajomej czasy tej walki i „nauki” życia. Wydawało się, że utonie, że nie dopłynie do brzegu. Nie utonęła. Dziś ma przy boku partnera życiowego–przyjaciela, ma mieszkanie, pracę, dorastającego syna. Ma prawie wszystko. Bo nade wszystko ma świadomość, że to, co ma, zawdzięcza tylko sobie, nikomu więcej. A jednak... A jednak od czasu do czasu przez twarz jej przemyka jakaś bruzda, jakby jakiś niepokój. Może to pamięć o kraju, o rodzinie? A może niepokój o przyszłość? A może i smutek jakiś, jakieś wyobcowanie? Kiedy przyjechała tu, zdecydowała się posłać syna natychmiast do szkoły. Być może z buntu, jaki był u podłoża jej decyzji, nie starała się podtrzymać u chłopca znajomości języka polskiego. Dziś piękny, grzeczny chłopiec nie mówi po polsku. Rozumie jeszcze nieco, mówić już jednak nie potrafi. To może los tego dziecka jest przyczyną owej bruzdy na czole Znajomej. Bo on wszak nie wybierał – tak jak ona; on po prostu został zabrany przez mamę i przywieziony tutaj. Wprawdzie nie odbiega w niczym od swych rówolatków. Na arkuszu ocen stopnie bardzo wysokie, z boku same pochwały nauczycieli. A jednak – jak w pewnej chwili zwierza mi się – *gdy mówię chłopcom, że jestem Polakiem, to oni mi każą powiedzieć coś po polsku, a ja już nie potrafię...* Może to właśnie to dziecko – które wie, że jest Polakiem, ale które nie zna języka swego ojca – może ono kładzie się cieniem na czole Znajomej?

3 marca 1985

Sądziłem, że dzisiejszy dzień przyjdzie mi spędzić w spokoju i samotności. Rzeczywistość okazała się inna. Najpierw była więc msza św. w Notre-Dame (wszak to niedziela), potem zaś wyjazd do Saint-Brice-sous-Forêt, wspólny obiad z gronem przyjaciół, pogawędka i... powrót do Paryża. Postanowiłem nie wracać natychmiast do domu. Rozlegające się z okolic sławnego *Centre national d'art et de la culture – Georges Pompidou* melodie przyciągnęły mnie w kierunku tej nieprawdopodobnie brzydkiej budowli. Bywałem już tu niejedyn raz, dziś postanowiłem pójść tam raz jeszcze.

Przy wejściu kilka grupek stłoczonych ludzi. Podchodzę, słucham... To trwa ożywiona dyskusja teologiczna. Tak, teologiczna. Starym zwy-

czajem właśnie tu, w okolicy Centrum Pompidou (także i koło Sacré Coeur!) pojawiają się młodzi zazwyczaj kaznodzieje, by nauczać prawd wiary. Różnej wiary. Jedni tłumaczą więc zawilności Talmudu, inni mówią o Buddzie, jeszcze inni – o Chrystusie. Słuchacze nie pozostają bierni, włączają się do dyskusji, starają się obalić argumenty „kaznodziei”. Próżne to jednak wysiłki. Kaznodzieje mają na swoje wsparcie wiarę, mimo więc że slaniają się ze zmęczenia (prawdopodobnie niektórzy głosili tu swoje prawdy cały dzień), spokojnie powtarzają swe argumenty, na nowo roztaczają wizję szczęścia albo i apokalipsy...

Tuż za wejściem tłupy zmęczonych, oczekujących, wałęsających się po prostu wyrostków. Upatrzyli sobie parter budynku za miejsce spotkań i oczekiwania na atrakcje. Rzadko decydują się pojechać ruchomymi schodami na jedno z pięciu pięter ośrodka. Zresztą nie wiadomo, czy znaleźliby tam miejsce. Bo liczne czytelnie, pracownie, sale telewizyjne, sale ekspozycyjne wypełnione są po brzegi. Przywołująca mi wciąż na pamięć widok jednego z wydziałów Zakładów Azotowych w Tarnowie budowla w centrum Paryża żyje jakże bujnym życiem! Setki czytelników czytają książki, inni przechadzają się między powszechnie dostępnymi regałami z książkami (jakie skarby na owych regałach – najlepsi autorzy, najlepsze wydania!), wybierają książki, przeglądają. Jeszcze inni robią odbitki ksero. Tam znów kilkanaście osób siedzi przed ekranami telewizorów i ogląda specjalne programy – z zaprogramowanego nadajnika. A tu, na pierwszym piętrze – wystawa projektów architektonicznych z całego świata. Co za mozaika możliwości, jakie wspaniałości roztaczane są przed każdym chętnym poznania świata... Zaiste, piękna była idea, która stworzyła ten przybytek kultury i sztuki. Można więc architektom wybaczyć nawet owe straszliwe rury, całe owo odkryte uzbrojenie budynku. Liczy się jego użyteczność, funkcjonalność. Jakżeby przydał się taki dom kultury – z prawdziwego zdarzenia – w Krakowie, w Tarnowie czy w jakimś innym polskim mieście...

5 marca 1985

Dosyć dawno nie byłem w Instytucie Katolickim. Dziś znowu jest okazja. Maria Delaperrière wygłasza odczyt o fantastyce i cudowności w literaturze polskiej. Temat piękny, ujęcie bardzo ambitne. Autorka wychodzi od stanu wiedzy nad fantastyką i cudownością we współ-